

Ewa Marczyńska-Goldstein

Za Cenę Uroku - fragment

Książę był uciążliwym, pokazowo znudzonym, marudnym, arystokratycznym snobem.

Jego ochroniarz natomiast...

No cóż, ochroniarz księcia był szarmancki i opiekuńczy. I był prawdziwym dżentelmenem.

I był ciacho.

Książę był znośny. Ale ochroniarz był totalne ciacho.

####

Wszystko zaczęło się od mojego szefa i jego nieuleczalnego niedoboru czasu. Udało mu się zapomnieć, że miał dla mnie wycieczkę do zrobienia, w efekcie czego byłam kompletnie i absolutnie nieprzygotowana. Jeszcze gorsze było to, że pracę w poniedziałek zaczęłam o siódmej trzydzieści, a on ostrożnie, z dystansu, odezwał się do mnie tuż po ósmej, kiedy *już* byłam w połowie wklepywania raportu, ale *jeszcze* nie wypitałam pierwszej kawy.

Jednocześnie znacznie za wcześnie i prawie za późno, bo, jak się okazało, praktycznie na ostatnią chwilę.

— Irenka...?

Już z tego jak Zygmunt brzmiał i jak obronnie trzymał teczkę wyczułam fakap *in statu nascendi*.

No jasny szlag.

— Irenka, ja wiem... Znaczy ja cię od razu przepraszam z góry, okejka? Najpierw załatwiałem jedno takie malutkie w archiwach, a potem wpadłem na kilku tych od obstawy szczytu wieczorkiem i się zasiedzieliśmy nad planowankiem... Alunia nie była mną zachwycona.

Nie zamierzałam mu odpuścić tak łatwo, ani współczuć, że go własna baba opieprzyła, ale kubek podany ostrożnie przez szefa przyjął. Wykazywał się czasem rozsądkiem.

Wiadomo było, że cokolwiek było do wykonania, i tak w końcu będzie wykonane przeze mnie, bo co prawda była nas w zespole dwudziestka, ale cała reszta albo miała wolne, albo przypisanych gości do obsłużenia, spotkania do obstawienia i co tam jeszcze było w grafiku. Do obrobienia Nieprzewidzianych Przypadków zostałam ja, i ewidentnie Zygmuntowi ulągnął się Przypadek. A zatem ja, jako posłuszny pracownik Biura Kontaktów Miasta Krakowa,

musiałam mu ten Przypadek obsłużyć. Rzuciłam okiem na teczkę z dużą naklejką "CD" i zmarszczyłam nos. *Znowu dyplomaci*. Ale cóż było czynić, szef każe, Irena robi. Tak samo jak reszta biura. Wszyscy odrabialiśmy nasz dług wobec państwa - cena, jaką się płaci za Urok Języków. Pięć lat pracy w budżetówce. Zupełnie normalnej, pełnopłatnej pracy, nie żeby to była jakaś pańszczyzna czy służba za wikt i opierunek, no ale jednak, człowiek był cokolwiek uwiązany i zobowiązany. Na przykład do wykonywania poleceń z gatunku "zapomniałem ci powiedzieć, a teraz się pospiesz, bo się spóźnisz". Co nie znaczyło wcale, że musiałam się poddać bez walki i obiecywać, że cudownie poradzę sobie ze wszystkim, co Zygmunt przyniósł.

Zajrzałam do kubka i upiłam solidny łyk kawy, żeby spionizować nieco organizm. Była paskudna, ale niczego innego się nie spodziewałam. Kawa w biurze musi być ohydna, to prawo natury. Poza tym w poniedziałek rano zawsze brakowało mleka, a ja piję przede wszystkim latte.

Zapisałam plik z raportem. Starannie.

— Weź przestań zagajać i po prostu powiedz, co się rozjechało.

— Będzie gość. Dzisiaj. Musisz go odebrać z dworca i zaprezentować wycieczkę spacerową. Lokalne żaretko, prezenciki dla rodzinki i znajomych. Norma turystyczna, wiesz, twoje ulubione. Centrum miasta, jarmarczek, kościółki. Z ozdóbkami i ciekawosteczkami. Tak wiesz, dla ważniejszych osóbek, ale... Ale poza tym standardzik.

Brzmiało to jakoś podejrzenie zwyczajnie, nawet jeżeli wziąć poprawkę na wyższy standard i ważność osoby. Zbyt zwyczajnie jak na to jak Zygmunt czarował. Pierwsza zasada odbierania zadań od dowolnego szefa: im dłuższa zapowiedź i im więcej zapewnień, że wszystko jest normalnie, tym cięższy fakap stoi za całą sprawą.

— Ale...?

— Gość jest wyposażony w ochroniarzyka.

Również całkiem codzienna rzecz w naszej branży. Co drugi ważniak odwiedzający miasto miał asystenta, ochroniarza, goryla, noszącego teczuszkę albo sekretarza. Całe biuro wspominało z odrazą pewnego ministra, który przyjechał z czterema praktykantami i potraktował wycieczkę po Krakowie jako test wytrzymałości dla nich. Przewodnik, który ich obsługiwał, opowiadał potem straszne rzeczy.

Westchnęłam. Rzuciłam okiem na sufit. Przeczekałam.

Zygmunt jakby lekko wił się w miejscu, mimo że stał nieruchomo, aż w końcu wydusił:

— Ten co przyjeżdża? To jest księciunio Lobelii.

Że co proszę...?

Musiałam mieć Minę, bo Zygmunt cofnął się o krok.

— Księżuniu Lobelii. Więc wiesz, efekt musi być tip-top. Ekstrasuper. *Ekstrasuper. Jasne. Niech go jasny szlag trafi, czemu mi wcześniej nie powiedział!*

Niespodzianki w pracy to coś, czego serdecznie nie znoszę. Zygmunt znał moją opinię o zadaniach rzucanych mi na głowę z nienacką, i dlatego też był taki ostrożny podchodząc - bał się, że znowu oberwie ołówkiem. Już raz tak było. Ślady po wbitym w rękę graficie zostają człowiekowi na długo.

(Na moje usprawiedliwienie mogę dodać, że rzuciłam w niego naostrzonym H2 przy czwartej w owym tygodniu niezapowiedzianej wycieczce oraz że był to środek sierpnia. A na dodatek oni nie planowali zwiedzać kościołów. Są pewne granice. W sierpniu zwiedzanie kościołów jest absolutnie konieczne, jeżeli się nie chce zdechnąć z gorąca.)

Zygmunt patrzył. Zegar na ścianie nad drzwiami tykał. Sekundy, cenne sekundy, mijały.

No dobra, poddajemy się z fasonem, stawivszy wcześniej odpowiedni opór. Salwa dla zachowania honoru wykonana, trzeba się zabierać do pracy.

— To kiedy i gdzie mam ich odebrać?

Było po prostu *widać*, jak się odprężył.

Byle tylko jakieś normalne miejsce w centrum, a nie ciemny zaułek, to wszystko będzie dobrze. I proszę, nie konsulaty... Nie cierpię konsulatów.

— Panowie przyjeżdżają anonimowo, ekspresikiem z Warszawy, za godzinkę.

— Ty naprawdę uważasz, że ja umiem czynić cuda.

— Wierzę w ciebie, Irenko.

Wiedziałam, że wierzył. Nie bez podstawy, bo miałam najlepsze wyniki w biurze i największą precyzję, ale do cholery, nie było mi łatwo z tą jego wiarą. Przez tę nieszczęsną wiarę zdarzało mu się przynosić takie beznadziejne zadania właśnie do mnie - wiedział, że wezmę i z palca wyczaruję co trzeba. Poza nim wierzyła tak we mnie tylko moja młodsza siostrzenica. Mina Zygmunta właśnie zaczynała przypominać wyraz twarzy Kasieńki, kiedy o dziesiątej wieczór przypominała sobie, że ma "na jutro" przynieść do szkoły czterdzieści kasztanów, i wyrażała pełną ufność w to, że coś na to poradzę. Bardzo podnoszące na duchu i jednocześnie bardzo obciążające.

— A idź do diabła. Co proponujesz?

— Odbierzesz Jego Wysokość z dworca, potem na spacerek przez Stare Miasto, Ryneček, kamieniczki dookoła, kilka uliczek i placyków. Zasyp go fankami i anegdotkami, opowiedz kilka starych legend, pokaż tajemnicze podwóreczka, fontanneczki, Nawojkę, co tam popadnie.

— ...nakarmić zapiekanką albo obwarzankiem, zaproponować Chłopskie Jadło, czekoladę i grzańca, pokazać bombki i kilka sklepów z bursztynem, a na koniec doprowadzić na Wawel na czas na otwarcie wieczoru?

Zygmunt kiwał głową, bez słowa protestu. Wyjął portfel z biurowymi Kluczami.

— Mam dla ciebie Kluczyk Zlania. Dobierzesz mu coś odpowiedniego, z gotowców albo na bieżąco, co wolisz. Niestety, jest na szybko, więc wiesz... I tak nie mógłbym tego oddać komuś innemu. Mariolka i Zybercik mają swoje wyznaczone grupki dzisiaj, a poza wami trojgiem nikt tak pięknie nie Zlewa z ręki...

Poza tym Zybert najlepiej robił Krowodrzę i Salwator, a Mariola Kazimierz i Podgórze. Jeżeli trzeba było oprowadzić kogoś po centrum, to optymalnym przewodnikiem byłam *ja*.

Ale to znaczy, że komuś musi diabelnie zależeć na dobrym wrażeniu.

— Co wolę? Tak zupełnie?

— Zupełniuteńko. Ale powiedziałbym... masz w głowie Zimową Krainkę, to się samo narzuca, prawda? Jarmarczek poprawiony? Znakomicie. Księciunio jest z ciepłego kraiku, prawdziwej zimki pewnie nie widział, więc dołożysz więcej śnieżku, choineczek i ogólnej słodyczy, będzie akurat. Krainka robi wrażenko nawet na naszych lokalnych gościach, a co dopiero na takim z tropiczków. Doimprowizuj wedle życzonek gości. Tylko unikaj duplikacików przestrzennych.

Miałam nadzieję, że mój wyraz twarzy przekazał wyrzut, który usiłowałam w niego wlać.

— No serio, o co ty mnie podejrzewasz? Duplikaty? Kraina jest dopracowana jak złoto, wszystko elegancko pasuje. I *ja* nigdy się nie mylę, nawet jak improwizuję. *Ja* bym miała spowodować problem złym zlanie? *Ja*?

— Wiem, przecież wiem. Improwizowane zlewanko robisz pierwsza klasa, zawsze. Mówię tylko na wszelki wypadek, bo mogłoby cię coś skusić. Pamiętaj, albo Odeon, albo Empik.

Prychnęłam i dopięłam Zlanie Czasów do klamry z resztą moich służbowych Kluczy.

— Odeon. Nie jestem barbarzyńcą.

— Karteczka służbowa, cokolwiek czego sobie księciunio życzy. I gotóweczka w dwóch zestawikach, jakbyś przelała was dostatecznie daleko wstecz. Patrz: Odeon. Albo wieczorkiem, jak będziesz wracać, jakby cię zniosło do Hetmańskiej albo na Bracką. Masz swoje, w razie czego?

Przeciągnęłam palcem po pliku banknotów. Grubo. Ale na wszelki wypadek wyciągnęłam z szuflady biurka mój własny portfel z zachowaną gotówką sprzed denominacji.

— I...? Nie pytam o księgarńnię, bo wiem czego szukasz, ale co z księciem. Więc? Co z nim jest nie tak? Zygmunt, no.

Zawsze było jakieś "i".

— Ma być wszyściuśko. Szerokozakresowo. Księciunio życzy, ty mu to załatwiasz. Kasa urzędziku jest do twojej dyspozycji.

Coś tu śmierdziało.

Po. Prostu. Musiało. Być. Coś. Więcej.

— Zyg. Munt. Wiesz, że to lepiej wyjdzie, jak powiesz, niż jak będę musiała zgadywać z cienkich aluzji.

Zniżył głos, tak jakby ktoś mógł nas podsłuchać w pustym biurze.

— Musisz dopilnować, żeby nikt mu nie rzucił Ciągotek Miłosnych. Ani żadnego innego uroczku z zakresiku uczuciowych. Żadnych Gwiazdek w Oczkach, żadnych Nagłych Miłostek, nic ma księciunia nie dotknąć. Polskie, zagraniczne, globalne, samoróbeczki. Masz uważać, nie wypuszczać poza zasięg...

— Przej... znaczy, tego. Przytrafiło mu się?

— Według dostarczonej dokumentacji, wielokrotnie. Ochroniarz wyposażony jest w jakieś tarcze oraz zapasik podstawowych zaklęć odzyskujących, ale wiadomo, że lepsza jest prewencyjka od leczenia, więc mam dla ciebie już przygotowany Stożek. Ustawisz na waszą trójeczkę i bezwzględnie masz trzymać go w zakresiku. Bezwzględniutko.

To oznaczało, że, znienacka, mój breloczek do Kluczy będzie zawierał dwa z dziesięciu mocnych Kluczy miejskich Krakowa. Nieźle. Niestety, sygnalizowało to również kłopoty. Normalnie, jako przewodnicy mieliśmy poważne zabezpieczenia, ale zwykle oparte na nas, a nie wpinane bezpośrednio do aury miasta. Stożek był o kilka stopni wyżej niż moja normalna tarcza na kieszonkowców.

— Zygmunt, co się do cholery wyrabia...?

Szef przez chwilę przeżuwał, jakby się zastanawiał, a ja tymczasem zaczęłam nakładać płaszcz. Zdążyłam owinąć się szalikiem i ponownie podziękować za niego w myślach siostrze, zanim Zygmunt się odezwał.

— Biedny chłopaczek skończył w tym roku prawko w Cambridge i robi przerweczkę zanim zabierze się za doktoracik czy tam inną prackę podyplomową. Udało mu się wyjść cało z *siedemnastu* ataczków w ostatnich dwunastu miesiącach. Wszystkie miały na celu uwiedzenie go i zdobycie dostępu do skarbcza Lobelii zanim by się ktoś zorientował. Nie muszę tłumaczyć, że to pagóreczek kasiorki, prawda? No i ryzyko dla kraiku, jakby się taka panna zdołała wżenić w rodzinę... Nikomu się nie udało, bo i księciunio, i jego ochroniarz są doświadczeni, ale chcieliby się odprężyć i dostaliśmy prośbę o zapewnienie mu *normalnego i komfortowego dzionka*. I ty mu dostarczysz to normalne i komfortowe. Jasne?

— Jasne, jasne. Biorę Bezpieczeństwo Żywności i Odganiacz Insektów. Wiem, że jest zima...

— Ale przezorny zawsze ubezpieczony.

— No dobra, to czy coś jeszcze powinnam wiedzieć, żeby się przygotować? Dla rozjaśnienia sytuacji, mam ochotę teraz pokrzyczeć sobie w przestrzeń, więc cokolwiek powiesz, lepiej, żeby było pożyteczne i szło w kierunku zredukowania mojego poziomu stresu.

Rozejrzał się i pochylił, zniżając głos.

— Podobno nawet jak podróżuje incognito i się trochę maskuje, no, wiesz, na turystę, to i tak ludzie go *zauważają*. Nie że rozpoznają, ale ponoć przyciąga wzrok. Więc miej to na uwadze. Oczy dookoła głowy, jakbyś zauważyła cokolwiek podejrzanego, to wskakujecie w taksóweczkę i prujecie na Wawel. Masz na dzisiaj autoryzacyjkę na wjazd na dziedzińczyk bramką Bernardyńską, jakby coś.

Brzmiało to poważnie i w żadnym razie nie redukowało mojego poziomu stresu, cholera.

Chłopaka usiłowano magicznie poderwać siedemnaście razy w ciągu roku, a oni chcieli takiego egzemplarza wyprawić w Kraków z ochroniarzem i jedną przewodniczką? Nawet taką jak ja, podpakowaną. Ale jednak *jedną*.

Zygmunt chyba odczytał moje zwątpienie w sensowność takiego planu.

— Stożek jest w aurze miasta, więc jest silniejszy niż dowolny uroczek czy zaklętko osoby z zewnątrz. A chłopak prosił o normalny turystyczny dzioneczek. Bez cudów i korowodzików, tylko wycieczka.

— I dlatego nie jedzie z całą obsadą, masażystką, asystentką i oddziałem zabezpieczającym tyły?

— Podobno ma ich serdecznie dosyć, bo czuje się jak cyrk obwoźny. To cytacik był. Myślę, że jeżeli będziesz współpracować sprawnie z jego ochroniarzykiem, to macie szanseczkę, że jaśnie pan spędzi dzionek przyjemnie i bez przykrostek. Taki książę raczej nieczęsto ma okazijkę po prostu się rozluźnić, więc postaraj się zadbać o to, żeby nic mu nie zakłóciło spacerku i żeby miał dobre wspomnionka z Krakowa.

Oj, już ja mu zafunduję wspomnionka, do końca życia będzie wspominał.

####

Przygotowanie psychiczne do takiego spaceru było właściwie ważniejsze niż cokolwiek innego, dlatego bardzo nie lubiłam, kiedy Zygmunt wrzucał mi je na ostatnią chwilę. Normalne wycieczki bez zapowiedzi też mnie denerwowały, ale zrobić je mogłam bez problemu - zwłaszcza takie niezobowiązujące spacerki uliczne. Złanie było wymagające.

Niestety, mogłam do pewnego stopnia zrozumieć sytuację. Jeżeli sprawa pojawiła się dzień wcześniej, a potem ludzie z obsługi szczytu zajęli mu cały

wieczór, mógł ewentualnie do mnie zadzwonić... Ale była to *niedziela* wieczór, a ja głośno zapowiedziałam poprzedniego dnia, że planuję spędzić ten czas z siostrzenicami. Widać nawet Zygmunt nie ośmielił się w takiej sytuacji dzwonić.

W sumie lepiej, że nie zadzwonił, miałam spokojny dzień ze smarkulami, a nie wkurzałam się, że ktoś nam przerwał.

Efekt był taki, że siedziałam w taksówce i próbowałam się jednocześnie odprężyć i skoncentrować, na dodatek przypominając sobie możliwie wiele faktów o Lobelii. W końcu należało jakoś dopasować ofertę do klienta.

Wiedziałam, że byli na liście gości szczytu - a nawet jako jeden z punktów programu, w pewnym sensie - ale nie spodziewałam się, że ktoś od nich będzie chciał tak po prostu pozwiedzać Kraków. Ale, kto ich wie, może mieli w planach zainwestować w coś w mieście? Wtedy tym bardziej należałoby zrobić odpowiednie wrażenie.

A może wtedy dostanę jeszcze kilka wycieczek do obsłużenia, z pozostałych małych krajów?

Nie interesowałam się przesadnie sprawami międzynarodowymi, zwłaszcza jeżeli wiadomości dotyczyły terenów tak znacząco odległych od Polski. Niespecjalnie mnie ciągnęło do wyjazdów zagranicznych, więc śledzenie tego było co najmniej bez sensu, ale nawet ja zdołałam zapamiętać, czemu właściwie mamy szczyt ONZ akurat w Krakowie, ze wszystkich miejsc na świecie. A nawet w Europie.

W efekcie przemian społecznych i politycznych w byłych imperiach kolonialnych, rozmaite kolonie, które dotąd ukrywały się w cieniu większych sąsiadów, wylazły spod kamienia i zadeklarowały ONZ, że właściwie to one istnieją, chcą zostać uznane oficjalnie i nawet handel jakiś by może pouprawiały. I inne stosunki. Jednym z nich było maciupeńkie, ale ogłuszająco bogate państewko o uroczej nazwie Lobelia. Zajmowało ono jeden z archipelagów na Morzu Arabskim i było - ponoć - nowoczesną monarchią. Cokolwiek to miało znaczyć.

Przez te kilka miesięcy od kiedy zgłosiła akces do ONZ, informacje o niej powoli przebijały się do wiadomości publicznej - głównie były to plotki dotyczące zarówno bogactwa (znaczącego) jak i sytuacji politycznej (skomplikowanej) tego archipelagu. Kiedy w lecie Indie oficjalnie potwierdziły, że uznają Lobelię za osobny twór administracyjny i popierają jej członkostwo w ONZ, spekulacje dotyczące jej zasobów naturalnych, potencjału handlowego oraz ustroju pojawiały się we wszelkich mediach, plotkach przy ekspresie z kawą i rozmowach w windzie, więc nawet ja, nie tykając okiem gazet i telewizji, nasiąkałam podstawowymi informacjami.

Domysły na temat rodziny rządzącej oczywiście też były bardzo żywe, ale niczym nie poparte. Głównie sugerowano jakiegoś podstarzałego maharadzę

czy innego zaawansowanego wiekowo wicekróla, który postanowił uniezależnić się od kontynentalnego sąsiada. Ale oczywiście, maharadża musiał mieć synów, zapewne większą liczbę, bo indyjskie królestwa zwykle były wyposażone w kilku dziedziców, przynajmniej o ile dobrze pamiętałam z literatury, a Lobelia była pod aurą Indii, więc zapewne nie różniła się za bardzo obyczajowo.

Więc, księżę Lobelii? Może następca tronu, skoro przyjechał na szczyt, albo drugi w kolejce? Oficjalny reprezentant ojca, miał pewnie jakiś konkretny tytuł, sekretarz stanu, czy inny minister... Te nowe kraiki miały bardzo różne struktury, zależnie od tego z jakiej tradycji wyrosły (i z jakiej usiłowały się wyrwać) i co spowodowało ich oddzielenie się od niechcianej macierzy.

Lobelia miała być interesującym potencjalnym partnerem handlowym, bo wiadomo było, że jest źródłem nowych leków, na które ostrzyli sobie zęby specjaliści. Jakieś składniki mineralne znajdujące się w gruncie na ich wysepkach okazały się mieć zbawienny wpływ na zdrowie mieszkańców, a na dodatek były dostępne w dostatecznych ilościach, żeby pozwolić Lobelii rozwinąć produkcję masową. Według domysłów, były dobrem odnawialnym, co samo w sobie ekscytowało teoretyków magii, bo naturalną zależnością jest raczej, że im silniejsze i pożyteczniejsze działanie jakiegoś komponentu, tym rzadszy i trudniejszy jest on do zdobycia.

Co znaczyło, że praktycznie każdy kraj ucieszyłby się z dobrych relacji handlowych.

No to trzeba się będzie postarać dla następcy tronu.

Bez stresu, co?

Tylko spokojnie, nie chcemy reakcji nerwowej. Dasz radę, nie z takimi miałas do czynienia. Potrzebna jest przewodniczka z lokalnym językiem oraz z angielskim, czyli spełniasz wymagania. Oddychaj.

Taki księżę to prawdopodobnie już znał wszystkie języki, których potrzebował na co dzień. Raczej nie używałby ekwiwalentu mojego Uroku, bo skutki uboczne były cokolwiek zbyt obciążające, ale gdyby miał jeden z Pomniejszych, albo nawet porządny Klucz, zwłaszcza coś z takich kosztownych, dostrajanych i personalizowanych dla użytkownika... Tylko że one z kolei wymagały zaufania ich Twórcy oraz tego, żeby rzeczony Twórca znał docelowy język przynajmniej w stopniu podstawowym, żeby dać otwarcie aurze, a księżę z dalekiego kraju mógł akurat nie mieć pod ręką kogoś ogarniającego polski.

W takiej sytuacji przewodnik z zainstalowanymi Językami był faktycznie najlepszą opcją.

Potrząsnęłam głową, usiłując odgonić teoretyzowanie.

Jak go spotkam to się dowiem - albo i nie. Wątpliwe, żeby księżę zwierzał się ze swoich osobistych rozwiązań i ochrony magicznej przewodnikom, nawet

takim z atestami bezpieczeństwa i wysokimi ocenami.

Taksówka już wjeżdżała na rampę na górny parking, kiedy uświadomiłam sobie, że nie zajrzałam w ogóle do teczki, którą wręczył mi Zygmunt.

Jasny szlag, nie lubię niespodzianek!

####

I tym właśnie sposobem znalazłam się na "miejscu spotkań" przy Globusie na Dworcu Kraków Główny za dziesięć dziewięta rano, zaledwie trzy kwadransy po tym, jak dostałam przydział zadania. Z biura do taksówki, z taksówki na płytę, z płyty na dół, do góry, odrobinę się ogarnąć, wyciągnąć kartkę z wydrukowanym starannie "LOBELIA", odetchnąć i uśmiechać się uprzejmie.

Gdyby nie tryb przekazania zadania, byłabym nawet dość zadowolona. Ba, w sumie... W sumie to już byłam zadowolona. Nie wszyscy w biurze dostawali do zrobienia wycieczki z dopuszczoną improwizacją. Tylko Zybert, Mariola i ja zawsze mogliśmy Zlewać z ręki. Reszta nie była dość dokładna, a z naszej trójki ja byłam najlepsza. Zero chwalipliwości. Najwyższa precyzja geometryczna i zegarowa, w szczególnych przypadkach trafiałam co do minuty. I od czasu szkolenia z posługiwania się Kluczem, raz popełniłam błąd geometrii. *Raz*.

Teraz byłam zupełnie w bieżącym czasie, na właściwym miejscu i o właściwej godzinie. Zrobiłam małe ćwiczenie oddechowe dla odprężenia.

Zygmunt chce mieć wrażenie, ma być super, ma być ekstra, powtarzałam sobie. Zygmunt wybrał mnie do tego zadania, bo zależy mu na tym, żeby goście to zapamiętali, tak? Bardzo słusznie. Nikt nie skacze w czasie lepiej niż Irenka.

Tłumu wielkiego nie było, więc szczęśliwie panowie nie musieli mnie szukać, napis był widoczny z daleka. Nie minęło więcej niż dziesięć minut od przyjazdu ekspresu z Warszawy, kiedy podeszło do mnie dwóch zakutanych w puchówki i szaliki młodych ludzi.

Wyglądali na te pięć lat młodszych ode mnie, co zgadzało się z tym, co zapowiedział Zygmunt i co miałam w krótkim opisie z konsulatu Indii - chłopaki zaraz po studiach.

Dwie minuty, które taksówkarzowi zajęło przepętnięcie przez szlaban i podjechanie do odpowiedniej windy, ja spędziłam sprawdzając pierwszą stronę oszczędnego dossier. Znałam zatem podstawowe fakty - imiona (Robert i Avriel), wiek (24 lata, obydwaj) oraz języki, którymi posługiwali się we własnym zakresie (angielski, hindi, kannada, francuski oraz, w przypadku Roberta, irlandzki). Do tego dochodziły życzenia księcia - zobaczyć Stare Miasto, porobić pamiątkowe zdjęcia, zrobić zakupy na cele prezentów gwiazdkowych i zjeść coś dobrego. Wszystko to byłam w stanie zapewnić.

Wyższy z nich spojrział uważnie na mój identyfikator i sprawdził z czymś na

swoim telefonie.

— Pani... Irena Cieszowska?

Trzeba powiedzieć, głos miał miły. Niski i taki jakby miękki, zupełnie nie kojarzący się z ochroniarzami. On sam też nie wyglądał specjalnie bojowo, ale miałam pełną świadomość, że w przypadku obstawy osobistej pozory mogą *bardzo* mylić. W obecnych czasach duży, zwalisty goryl służy głównie do zniechęcenia potencjalnego napastnika, natomiast niejeden skromnie wyglądający "asystent" jest tak naprawdę magicznie wspomagany w zakresie siły fizycznej oraz nosi na sobie fortunę w Kluczach zabezpieczających. Takie rozwiązanie mniej zwraca uwagę na ulicy, nawet jeżeli jest znacznie droższe niż naturalnie umięśniona obstawa.

— Jestem Robert Gillies, a to jest Avriel Arroyo. To on chciał "normalnego" dnia na mieście. Avriel, to jest ta pani, która ma nas oprowadzić po najlepszych częściach Krakowa.

Księżę Avriel był zaskakująco przeciętny, jak na obfite zapowiedzi Zygmunta. Jakieś dziesięć centymetrów wyższy ode mnie, dość solidny w budowie. Cera ciut ciemniejsza od lokalnej normy, ale nie przesadnie (mieliśmy środek zimy, dużo ludzi łąpało słońce na stokach, więc w tłumie suwających nogami po opadach atmosferycznych niczym by się nie wyróżniał). Ciemne włosy spięte w kucyk. Okulary w drucianej oprawie. Według wszelkich znanych mi obiektywnych wskaźników, totalna średnia. Tylko solidny, wyglądający na srebrny sygnet na palcu lewej dłoni robił wrażenie niestandardowego.

Za to Robert, ha. Robert był totalnie doskonały.

Począwszy od głosu właśnie, a skończywszy na wzroście i obłudnie pięknych, jasnozielonych oczach.

Spokojnie, Irena. Odrobinę profesjonalizmu poproszę. Nie śliń się.

— Na początek muszę sprawdzić panów klucze osobiste.

Przecież nie wezmę niezidentyfikowanych obcych na wycieczkę w czasie, nawet jeżeli jeden z nich trafiał mi centralnie w nastoletnie marzenia.

Robert podał mi obydwie karty, przycisnęłam je do czytnika.

Avriel Robert Arroyo. Delegacja dyplomatyczna Lobelii.

Robert Saint-John Gillies. Delegacja dyplomatyczna Lobelii.

Czytnik pisał akceptująco.

— Tu się zgadza, to jeszcze odciski palców.

Czytnik pisał ponownie. Znakomicie. Potwierdzenie z aury, że osoby się zgadzają z kartami, czyli mam właściwych zagranicznych turystów.

Przyjrzałam się im jeszcze raz, jednocześnie autoryzując ich klucze z moim Stożkiem Zawieszenia, żeby nie interferował z ich magią osobistą, kiedy już go uruchomię. Pewnie mieli jakieś swoje tarcze, Klucze medyczne czy jakieś zabezpieczenia turystyczne, jak wielu bogatych zwiedzających, więc lepiej było

im tego nie stłumić przypadkiem.

Avriel rozglądał się dookoła jakby z niesmakiem? Niepokojem? Dworzec był nieco chaotyczny, trzeba przyznać, ale nie było się czego bać. Robert wyciągnął swój czytnik i skinął głową, kiedy zautoryzowałałam się pozytywnie. Nawet jakby ociupinę się zrelaksował. Pewnie miał chłopak ciężkie życie jako osobisty ochroniarz księcia. Kiedy poprawił na ramieniu nieduży plecak, uświadomiłam sobie, że normalnie turyści miewają tego więcej ze sobą, ale licho wie takiego następcę tronu. Może toto jeździ tylko z kartą kredytową i kupuje wszystko na miejscu.

— Mają panowie jakiś bagaż poza tym? Zostawianie w boksie może być cokolwiek ryzykowne, więc musielibyśmy najpierw odstawić rzeczy do hotelu...?

Miałam nadzieję, że mają przynajmniej czapki i rękawiczki, bo nie wyglądali na przyzwyczajonych do chłodu. Cambridge było raczej ciepłym miejscem, z tego co wiedziałam, a jeżeli pochodzili z wysp podobnych do Malediwów, to raczej nie mieli często okazji zetknąć się z czymś takim jak ucziwa, rozbujana, kontynentalna zima.

— Wszystko już powinno być w hotelu, razem z resztą naszej delegacji. Wzięliśmy tylko plecak, żeby mieć szansę kupić kilka pamiątek. Avriel chce znaleźć coś odpowiedniego dla narzeczonej.

— Oczywiście, rozumiem. Tym lepiej dla nas, nie musimy tracić czasu na objazdy. Zaczynając — *uśmiech zawodowy numer jeden, przedstawiamy się.* — Jak już potwierdziliśmy sobie, nazywam się Irena Cieszowska i jestem waszym przewodnikiem na dzisiejszej wycieczce po Krakowie. Zgodnie z życzeniami, będzie to dzień zwiedzania, jedzenia i zakupów. Jako certyfikowany Przewodnik Miasta Krakowa gwarantuję wam, że jesteście ze mną bezpieczni, zarówno jeżeli chodzi o magię jak i zagrożenia czysto konwencjonalne. Zapewnię, że nie wpadniecie w żadną specjalizowaną pułapkę na turystów, ale zaprowadzę was w miejsca, gdzie turyści jak najbardziej chodzą, bo w sumie tego oczekujecie, jak zgaduję. Wasza Wys...

— Po prostu Avriel — książkę uciął cicho. — Wolałbym... Nie reklamować mnie przesadnie w każdym zdaniu. Nie używajmy tytułów.

— Avriel, oczywiście. Wy też mówcie do mnie po prostu po imieniu, tak będzie nam najłatwiej i będziemy brzmieć najnaturalniej. A więc, jestem Irena i zapraszam was na moją pokazową wycieczkę po Starym Mieście przez Złane czasy.

Panowie popatrzyli po sobie nawzajem.

— Przez co?

Ha. Teraz będzie najlepsze.

— Chodźmy, wyjaśnię po drodze, na przykładzie. Teraz jesteśmy na nowym

dworcu, więc nie uruchamiam Złania, bo skutki byłyby raczej nieodwracalne.

Popatrzyli na mnie z dokumentnym brakiem zrozumienia. Ale też nie było to wcale wyjaśnienie, a wyłącznie sposób na podkreślenie ich zainteresowania tematem. Wyszliśmy z podziemi i poprowadziłam ich do głównego starego budynku dworca. Zatrzymaliśmy się w holu tego... no, cokolwiek tam teraz było wystawiane.

— Nie oddalajcie się teraz ode mnie — poleciłam i wywołałam pierwsze Złanie.

Robert wydał zduszony odgłos, przysuwając się szybko do swojego pracodawcy.

— Tak wyglądała sala kas w latach dziewięćdziesiątych — wskazałam na tłum kłębiący się wokół nas. — Nie wybrałam co prawda konkretnego dnia, celowałam w plus minus środek dekady.

Oczywiście w podświadomości *miałam* określony dzień, a patrząc po gazetach wokół nas, był to dwudziesty listopada 95. *No to przynajmniej nie za ciepło.*

— I to było... Normalne? I czy my tu niczego nie zmienimy?

Książę rozglądał się, powoli obracając w miejscu, śledząc z niepokojem pasażerów, kolejarzy i sokistów.

— Nie rzutujemy na nic, niczego nie zmieniamy. I tak, to był normalny stan piętnaście lat temu, kiedy to jeszcze był w pełni działający główny budynek dworca kolejowego. Kasy są tutaj, poczekalnia z tamtej strony, jeszcze dalej bar dla lubiących ryzykowne przygody gastronomiczne... I to tak tyle, chciałam wam tylko pokazać, jak działa złanie. Podstawa jest taka, że w Krakowie jest na całym mieście założony szerokokresowy rozsiany Urok pozwalający uprawnionym użytkownikom prześlizgiwać siebie i prowadzoną grupę między czasami bez zauważalnych przeskoków. Aura miasta zarządza naszym ruchem, więc w przeszłości nie pojawiajemy się "znikąd", ani nie naruszamy ciągłości, nie powodujemy paradoksów i tak dalej. Stara hala dworca to jedno z moich ulubionych miejsc, a że teraz jest tu jakaś wystawa, to można spokojnie wejść i przeskoczyć trochę wstecz.

Obydwaj pokiwali niemo głowami, patrząc to na mnie, to na otoczenie, to na siebie.

Lobelia mogła mieć swoje zasoby naturalne i farmaceutyki rosnące na drzewach i pod kamieniami, ale Kraków miał swoje uroki. I Uroki.

— A na czym się opiera...?

— Sentyment.

Książę zatrzymał się na moment. Rozejrzał jeszcze raz.

— Ach, rozumiem. Lokalne zastosowanie koncepcji umysłu zbiorowego... Czyli używanie mieszkańców miasta jako podstawy?

— Tylko tych powyżej czterdziestki. Studenci historii od dwudziestego roku życia, przewodnicy od momentu rozpoczęcia pracy. W ten sposób uzyskujemy większą stabilność... No i Kluczy Zlewania jest tylko szesnaście na całe miasto, trzeba mieć osobną autoryzację na każde wydanie jednego z nich. Pięć z nich jest na stałe przypisane do Wawelu, pięć do puli dostępnej dla uniwersytetów, trzy do komendy policji i trzy do Urzędu Miasta, a konkretnie to do naszego biura.

— I używasz właśnie takiego...? Dla nas...? — głos Roberta załamał się lekko. Z podekscytowania, jak zgadywałam. I słusznie. Dostali bardzo elitarną wycieczkę, miałam nadzieję, że to docenią.

— Szef wręczył mi go dzisiaj rano i mam polecenie zrobić dla was w ten sposób możliwie ciekawy i przyjemny spacer. Nie będzie dalekich skoków wstecz, do renesansu czy dziewiętnastego wieku, bo mój certyfikat obejmuje Zlewanie tylko do początku lat dziewięćdziesiątych. Jestem tylko przewodniczką, a nie wykwalifikowanym historykiem uniwersyteckim. Z nimi można wybrać się nawet i do średniowiecza, ale oczywiście nie oferują tego turystycznie. W takich wyprawach biorą udział przede wszystkim naukowcy. Chodźcie, pokażę wam resztę. Tylko musicie się trzymać blisko mnie, żeby mieć pewność, że zasięg moich Kluczy was obejmuje.

Robert przysunął się do mnie natychmiast, książkę jakby z lekkim opóźnieniem, typiąc na swojego ochroniarza spode łba. Zeszliśmy z lekko śliskich schodów, panowie nadal rozglądając się z nieufnością, ja patrząc na nich.

Będę szczerą.

Uwielbiam ten moment, kiedy ludzie z wysokotechnicznych i wysokomagicznych krajów zniecałkują naszą lokalną aurę. Ten głębszy oddech, chwila zachłyśnięcia, coś jakby czkawka w ich poziomie koncentracji.

Chłopaki z Lobelii właśnie załapały.

Stojąc na Placu Kolejowym, pomiędzy Dworcem Głównym (wersja 1995) a Galerią Krakowską (wersja bieżąca, 2010), z zapowiedziami dawno już odprawionych kursów odbijającymi się echem od korytarza za nami, patrząc na tramwaj jadący w kierunku ulicy Warszawskiej, moi wysoko postawieni, ważni goście, wreszcie poczuli aurę Krakowa.

Miasta Stare mają silną, nasyconą aurę, ale krakowska jest specyficzna, co potwierdzi każdy przyjezdny o niezerowej wrażliwości magicznej. Zwłaszcza w zimie, kiedy różne rzeczy koncentrują się i mają czas przesiąknąć przez kamienie, kiedy zieleń jest zwinięta i przytłoczona, brak słońca rzutuje na powszechne samopoczucie, a nastroje i stwory niechętnie światłu podnoszą łeb, ale jednocześnie rośnie poczucie ekscytacji związane ze zbliżającymi się świętami, kiedy Jarmark stanowi podstawę dobrych emocji na mieście, wtedy

aura ma szczególny odcień. Ludzie z synestezją magiczną porównują to wrażenie do chałwy, jednocześnie słodkiej i gorzkiej, albo do mocnej i posłodzonej kawy, tylko że oprócz smaku i zapachu dotykającej wszystkich zmysłów na raz. Jest biel śniegu i ciemne, zasnućte chmurami niebo. Jest wygłuszenie i miękkość kroków i ostre dźwięki kołęd. Jest zapach smażonych w cukrze migdałów i gorzka nuta dymu z pieca kaflowego. Jest nadzieja i stres, twardy lód i miękka wełna...

I jest odbicie tego wszystkiego w aurze miasta, której odpowiednio wrażliwi odwiedzający mogą posmakować, tak jak niniejszym robili to Avriel i Robert.

Goście wprowadzeni w temat? To teraz mogłam skupić się na Zimowej Krainie i pokazać im moją specjalność.

####

— Widzieliście już przykład tego, jak działa zlanie czasów w punkcie, ale dalej będziemy tego samego doświadczać w ruchu. Trasa, jaką dzisiaj pokonamy, obejmuje przejście ulicami starego centrum miasta i dwoma rynkami oraz wizyty w wybranych punktach handlowych i obiektach kultury. Składa się ona z elementów z ostatnich piętnastu lat - z takiego okresu dobrane są budynki i instytucje, które zobaczycie. Nie wszędzie wejdziemy, bo na to nie wystarczyłoby czasu, ale jeżeli zobaczycie coś, co was zainteresuje, możemy zajrzeć, wystarczy że powiecie, mamy dość swobody czasowej na kilka wizyt.

Przyjrzałam się im starannie, ale tylko popatrzyli na siebie nawzajem i wzruszyli ramionami. Logiczne, że jeszcze nie wiedzieli, co *mogą* chcieć.

— Miejsce, w którym stoimy, to Plac Jana Nowaka-Jeziorańskiego, do niedawna zwany po prostu Placem Kolejowym, ze względu na, cóż, bycie przy kolei. Po lewej stronie jest budynek poczty, jakbyście mieli życzenie kupić pocztówki albo coś... Nie? W razie czego, jeszcze będzie sporo okazji przez cały dzień. No to ruszamy. Stare miasto jest za tymi drzewami na wprost, za skrzyżowaniem.

Klucz sprawnie zszywał ze sobą lata, podmieniając według moich poleceń pawilony, sklepy, szyldy i drogowaskazy.

Zgodnie ze standardowym projektem, dodałam księgarnię na schodach do przejścia i wywaliłam stoiska ze środka na samym dole, ale dodatkowo, z ręki, zastąpiłam cukierniami wszystko, co kiedyś cukierniami było. Zapach był oszałamiający. *Goście zagraniczni, z ciepłego miejsca, więc oczywiście trzeba im zaserwować Planty w śniegu.* Większość z tego roku, ale ciut cienko to wyglądało miejscami, więc grudzień '97 dostarczył lepszej puchatości. Wielka podświetlona bombka choinkowa na klombie była z 2006. Wszystko razem celowało w maksymalizację efektu najbardziej uroczego i bielutkiego miasta,

jakie się dało uzyskać. Kraków w śniegu miał znacząco inny charakter niż dowolny inny Kraków, i właśnie taki robił największe wrażenie na gościach. Nie bez powodu Krainy właśnie Biuro używało najczęściej, zarówno sklejaną w locie - przeze mnie - jak i wbitej na sztywno w Klucz, czego wymagali prawie wszyscy pozostali przewodnicy. Taka zaprojektowana na sztywno była oczywiście atrakcyjna, ale jednak co osobisty wkład, to osobisty wkład. Dorzuciłam jeszcze dekoracje sprzed roku, rozświetliły boczne alejki.

Jego Wysokość popatrzył z niepokojem i jakby niechęcią na dzieciaki ganiające się po trawnikach i rzucające się śnieżkami. Pewnie rzadko widywał dzieci bawiące się opadami atmosferycznymi. Wspomniane wcześniej suwanie po nich nogami zapewne w ogóle nie zmieściłoby mu się w głowie.

— Po prawej stronie mamy Barbakan, który jest jednym z elementów murów miejskich. Kiedyś był połączony korytarzem z Bramą Floriańską, którą widzicie po lewej.

— To gdzie te mury miejskie są?

Książę rozejrzał się teatralnie i zwrócił ku mnie z takim wyrzutem na twarzy, jakbym to ja je osobiście schowała. Albo jakbym sobie z niego żarty robiła. Ochroniarz westchnął, nieco rozpaczliwie.

— Avriel...

Nie był to mój pierwszy sceptyczny gość.

Spokój, łagodność i profesjonalizm.

— Stoimy na nich. Planty, czyli park, którym teraz idziemy, pokrywają teren byłych murów, fosy i wałów ziemnych. Niemal całość fortyfikacji została wyburzona z początkiem XIX wieku, więc teren trzeba było zagospodarować - zasypać, wyrównać i... obsadzić. W efekcie zamiast obwodu murów mamy wokół starego miasta obwód parku. Można obejść praktycznie całe centrum, z nieznaczną przerwą, używając wyłącznie alejek parkowych. Natomiast tutaj wejdziemy już na teren Starego Miasta. Może czas na zdjęcie?

Brama Floriańska zdecydowanie zasługiwała na uwiecznienie. Zaśnieżona alejka i drzewa wokół były sprzed dwóch lat i perfekcyjnie pasowały do aniołów postawionych w tym roku. Po starannym udokumentowaniu efektu, panowie poprosili o zdjęcie w łuku bramy. Dopóki stali nieruchomo, mogłam się od nich bezpiecznie oddalić i znaleźć dobre ujęcie z całym tym śniegiem. Dobrze, że Zlewianie działało na wszystkie urządzenia optyczne, włącznie z aparatami cyfrowymi, bo inaczej zdjęcia wyglądałyby słabo i nie zgadzały by się ze wspomnieniami. A tak miałam gwarancję, że będą mieli najbardziej zaśnieżone fotki jakie były możliwe.

Być może było to nieco zbyt bezpośrednio działanie fizyczne, ale dość zdecydowanie pociągnęłam Avriela za rękaw, bo zagapił się na mur, kiedy już wyszliśmy z Bramy. Nie chciałam być odpowiedzialna za to, że się książę z

obcego kraju zaopatrzy w jeden z naszych lokalnych bohomazów, a dosłownie tylko to wisi na tym odcinku muru. Byłby okropny wstyd, jakby ktoś toto zaprezentował w dalekim świecie jako przykład krakowskiego malarstwa.

— Nie, nie, na to nie ma co patrzeć. To czysty śmieć jest.

— To czemu nam to pokazałaś?

Poprowadziłam ich dalej Floriańską, byle szybciej odejść od naszej lokalnej reprezentacji kiczu w ozdobnej ramie.

— Bo nie mam w pamięci ani jednego dnia, żeby tych obrazów tu nie było. Pod koniec świata, kiedy już wszystko się rozsypie, ten kawałek muru nadal będzie stał i ten facet nadal będzie sprzedawał koślawe konie i zezowate wieśniaczki. Tak samo jak koleś, który stoi tam dalej w bramie i twierdzi, że sprzedaje skarpety. Podobno to tylko przykrywa do handlowania lewymi Kluczami, ale jeszcze nie udało się go złapać na niczym.

Avriel obejrzał się jeszcze raz, z miną co najmniej zgorzowaną. Pewnie znał się cokolwiek na sztuce. Albo nie podobała mu się koncepcja ulicznej sprzedaży nielicencjonowanych Kluczy, jedno z dwojga.

Też nie jestem tym zachwycona, Wasza Wysokość. Ani tym ani tym. Zbyt wielu turystów kupuje jakieś podejrzone paskudztwo... Dobrze jest, jak tylko stracą na tym pieniądze, a nie zdrowie.

Skupiłam się na otoczeniu, bo Złania nigdy nie należało wykonywać nieuważnie. Kamienice posłusznie zmieniały fronty - dodałam szwajcarską piekarnię, ale wywaliłam McDonalda, zostawiłam sklep z czekoladą i poprawiłam zestaw pubów i knajp. Usunęłam ze dwie restauracje, z którymi miałam kiepskie skojarzenia, a dodałam księgarnię.

Dekoracje uliczne zostawiłam bieżące. Były niebrzydkie.

— Jak ty to... jak ty to robisz? — Robert stanął przed jedną z witryn, gdzie w oknie odbijał się zupełnie nie ten sklep, który widać było naprzeciwko. Spojrzał w tył. Znowu na witrynę. — Czy to jest stabilny efekt? Kogo obejmuje?

— Tymczasowy, i zlokalizowany tylko do nas trojga. Nikt poza nami nie widzi niczego niezwykłego. Oficjalna nazwa to "bańka zawieszenia paradoksu", ale jeżeli chcecie dokładniej, to musiałabym popatrzeć w specyfikację techniczną.

— Nie, nie... Tylko się zastanawiałem na ile to jest trwałe, czy na przykład, bo ja wiem, coś podniesionego z ziemi w tym złanym czasie zostanie, czy rozpułynie się?

— Jak najbardziej zostanie. Gwarantuję.

Oczywiście że zostawało. Połowa satysfakcji z używania Klucza Złania Czasu po godzinach to były zakupy...!

— Przewodniczka klasy A — Avriel wskazał na mój identyfikator. — Czy to właśnie to znaczy?

— A nie, to nie zależy od klasy, tylko od praktyki posługiwania się Kluczem i

osobistej precyzji. Klasa głównie oznacza, że wszystkie certyfikacje zdaję w 99 centylu i mam niezmiennie wysoki poziom ocen od uczestników. Nie wszyscy z tą samą klasyfikacją używają Zlewania Czasów, ale akurat ja mam w tym całkiem niezłe wyniki. Inni też skaczą w czasie, ale robią innego rodzaju wycieczki, na przykład przeskok w jedną konkretną datę. Niewiele osób umie zszywać na bieżąco, tak jak to robię w tej chwili.

Panowie podziwowali jeszcze trochę nad efektem i nie poganiałam ich. Trzeba przyznać, że patrzenie w odbicie sklepu, w którym odbija coś zupełnie innego niż widzimy naprawdę za plecami jest przy pierwszym podejściu nieco zaskakujące.

Nabyliśmy na prośbę Avriela obwarzanki (solone, oczywiście) i skręciliśmy w Świętego Marka, a następnie w Szpitalną, które płynnie uzupełniałam co ciekawszymi dostępnymi w tych wąskich uliczkach lokalami z poprzednich piętnastu lat. Antykwariat, kawiarnia, punkt naprawy piór, kolejny antykwariat.

Panowie szli krok w krok, niemal jak wojskowi, po moich bokach, więc musiałam mówić raz do jednego raz do drugiego, żeby nie zdzierać gardła...

Muszę jednak przyznać. Może Avriel i był księciem, głównym gościem wieczoru i co tam jeszcze...

Ale głównie zwracałam się do Roberta.

Wiem, to słabe. Ale jest ograniczona ilość groźnych zmarszczeń brwi i podejrzliwych pytań, które mogę wytrzymać bez utraty cierpliwości. A na następcę tronu nie wypada krzyczeć. Nawet jeżeli gapi się na obwarzanka, jakby się spodziewał trucizny.

Poza tym, Robert był uroczy.

Zainteresowany wszystkim dookoła.

Pełen pytań.

Łakomy wrażeń.

No i gdyby była to sytuacja niesłużbowa, musiałabym przyznać, że był zainteresowany dalece nie tylko "wszystkim dookoła". O ile mogłam oceniać na podstawie mojego niebywale szczupłego doświadczenia w zakresie flirtowania, rzecz jasna.

Avriel za to co chwila wydawał niezadowolony odgłos, co irytowało mnie z każdą minutą coraz bardziej, bo nie mogłam zrozumieć co mu się nie podoba. No trudno, Szpitalna faktycznie nie była nigdy ekscytująca. Ale ja miałam mojego asa w rękawie. Temu się jeszcze nikt nie oparł. Musiałam tylko zaprezentować to Jego Wysokości odpowiednio.

Na początek - coś mniejszego. Nomen omen. Konkretnie to Mały Rynek, wypełniony po brzegi wszystkim, co się dało. Miód, sery, organiczne kosmetyki, egzotyczne przyprawy, smażone pierogi i chałwa ze stewią - wszystko, co byłam w stanie zmontować najlepszego bez nakładania się stoisk. Zatrzymałam

ich, zanim zagłębiliśmy się w tłum.

— Krótka instrukcja - część budek akceptuje gotówkę, część karty. Mam na wszelki wypadek jeszcze banknoty sprzed wymiany pieniędzy, jakby się wam coś spodobało w jakimś sklepie z początku lat 90, ale to i tak nie na jarmarku. Generalnie, wybieracie co chcecie, ja załatwiam płacenie.

— Ale...

— Możecie przedyskutować zwrot z moim biurem. Ja mam moje polecenia i to jest "obsłużyć sprawy finansowe".

— Mamy na to budżet koronny...

Westchnęłam.

Niby tacy nowocześni, wielki świat i w ogóle, ale jak ma za nich dziewczyna płacić, to się stroszą. Dobrze, że miałam technologię po swojej stronie, bo jeszcze by się zaczęli upierać.

— Jak się wam trafi coś ze stoiska z tego roku, to możecie zapłacić. Na starszych potrzebna jest gotówka albo moja karta, bo inne się nie zautoryzują.

Popatrzyli po sobie. Avriel westchnął i pokiwał głową. Wyraźnie niechętnie.

Nie wiem czy to bardziej kwestia płci, czy bycia arystokratycznym mądralą...

Robert wyjął telefon i zrobił kilka zdjęć, rozglądając się ponad tłumem.

Wzrost dawał mu solidną przewagę nade mną - i nad większością zakupowiczów.

— Byliśmy na świątecznych targach w Cambridge, ale jakoś nie robiły takiego... ozdobnego wrażenia. Czy używacie jakiegoś wzmocnienia w aurze, zmieniającego atmosferę?

Potrząsnęłam tylko głową. Nie używaliśmy, a raczej, nie było ono aktywowane przez człowieka. Kraków załatwiał to sam. Z każdym rokiem nasycenie aury nad obydwojma rynkami wzrastało i rozlewało się na nowo po okolicy z początkiem rozstawiania pawilonów w listopadzie.

— Trzymajcie się na trzy kroki ode mnie — poleciłam jeszcze. — Lepiej, żebyście nie wychodzili poza zasięg Złania i moich zabezpieczeń.

Wątpiłam w rozszałę uwodzicielki czające się na Avriela akurat pomiędzy kramami oferującymi pierogi i naturalne kosmetyki, ale polecenie to polecenie.

Przeszliśmy powolutku całą długość Małego Rynku, kupując kilka drobiazgów - głównie ja, bo panowie jeszcze oswajali się z nowymi wrażeniami. Przecież nie będę marnować okazji, jak już zrobiłam Złanie. Trzeba korzystać. Facet od chałwy pojawiał się zdecydowanie za rzadko.

Ponieważ zaczęli leciutko się ode mnie oddalać, pozwoliłam sobie ich złapać za rękawy i pociągnęłam ich Sienną, do Rynku Głównego (wstawiając starannie Odeon gdzie trzeba - jeszcze do ciebie wrócę, kochany!) a następnie pozwoliłam chaosowi starannie pozszywanej dekady Jarmarku na Rynku rąbnąć moich gości z pełnym impetem.

— Co... co to jest?

— To jest Kraków. Chodź, trzymaj się mnie, żebyś nie wyszedł poza zasięg — znowu złapałam księcia za rękaw i przyciągnęłam z powrotem, zanim wszedł w przechodnia. — No to... Co pierwsze? Mam coś wyjaśnić?

Robert podniósł rękę, więc czekałam, aż sformułował pytanie.

— Kraków, dobrze. Ale *co* to jest? Czy to jest ciąg dalszy tego, co już obejrzelśmy tam na poprzednim placu, czy coś osobnego? Tak tu macie co roku? Nie jest tego trochę dużo?

— To co widzicie przed sobą, to siedem z dziesięciu ostatnich Jarmarków Bożonarodzeniowych, możliwie bezszwowo zmontowanych w jeden. Dla naszego komfortu psychicznego usunęłam sceny muzyczne oraz zespoły pieśni i tańca, zastąpiłam powtarzalne budki ładniejszymi i ciekawszymi. Jedyne ograniczenie, do jakiego się muszę stosować, to że obiekty nie mogą się nakładać w przestrzeni. Stanowi to pewne wyzwanie w trakcie projektowania, ale sprawdzałam ten zestaw wielokrotnie i skorygowałam w zeszłym tygodniu na nowe stoiska. Jest idealnie, obejmuję tym pełną płytę Rynku, poza tym kościółkiem po lewej. Nie zauważycie przejść, zapewniam.

Tak, jestem dumna ze swoich osiągnięć. Mam prawo.

— Nadal nie rozumiem — przyznał wreszcie książę. Z wyraźną niechęcią.

— Kiedy gdzieś usiądziemy, wytłumaczę ci podstawy matematyczne tego wszystkiego, jeżeli będziemy mieli chwilę i zlokalizuję w torebce ołówki. Nie żebym się super dobrze orientowała, bo większość ogólnych kalkulacji jest poza moim zasięgiem, ale na tyle, żeby wykonać prawidłowy projekt takiego montażu, to ogarniam. Nie szkolili nas bardzo głęboko co prawda, ale jednak wolą, żebyśmy nie gubili gości w nieciągłościach.

Pokiwał głową i rozejrzał się, starannie nie oddalając się ode mnie.

— Czy... czy to jest bezpieczne?

Teraz pyta. A na Małym się nie bał.

— Dopóki będziecie się mnie trzymać. Dostownie i fizycznie najlepiej. Pójdziemy sobie powolutku, żeby aura miała czas zaszyć wszystkie ewentualne różnice. Jak wam się jakaś budka spodoba, to się zatrzymamy, tylko się nie rozłączajmy, proszę.

Właściwie to aż tak bliski kontakt nie był potrzebny. Stożek ochraniał ich praktycznie gdziekolwiek by się znaleźli na terenie objętym aurą miasta. Prawdopodobnie i w Wieliczce, gdybym z nimi pojechała. Trochę gorzej, ale nadal nie tak dramatycznie, było z Kluczem Zlewania - kiedy byliśmy w ruchu, miał on zasięg o promieniu nieco ponad dwóch metrów. Jednak lepiej było, żeby trzymali się bliżej mnie, bo po pierwsze, mogliby przypadkiem zawędrować dalej, a wtedy aura miałaby problem z obsłużeniem tego, a po drugie - spacer po jarmarku świątecznym w obstawie dwóch prawdopodobnie

dość przystojnych kawalerów? Miałabym przepuścić taką okazję?

Robert poprawił plecak i skinął głową, oferując mi milcząco swoje ramię, podczas gdy Avriel trzymał się jego drugiej strony.

Zanurkowaliśmy w Jarmark.

Były bombki. I koszyki wiklinowe. Kuźnia, kołaczki i krówki. Grzaniec, salami i gorąca czekolada. Drewniane zabawki, gliniane kubki i żelki na wagę. Puzzle, facet rysujący karykatury, koronki z Bobowej i miód pitny z Łaziska. Tradycyjne stoisko z Kluczami dla turystów (licencjonowane, w przeciwieństwie do gościa od skarpet), oferujące takie niebywale pożyteczne gadżety magiczne jak Niezwykle Powietrze, które generowało symulowaną chmurkę smogu, która unosiła się nad użytkownikiem do trzech dni, albo Idź Idź Ty Bajoku, które - ponoć - dawało kilkugodzinną możliwość mówienia mocną gwarą krakowską. Nie testowałam, mój Urok mi w zupełności wystarczył.

Znalazłam stoisko z owocami w czekoladzie i zrobiliśmy krótki postój koło kościoła Świętego Wojciecha na przekąskę. Dobrałam budkę z tego roku, żeby dać moim gościom szansę na samodzielne zapłacenie, skoro aż tak im zależało na niezależności i usiedliśmy wokół drewnianego stołu, każde ze swoim nabytkiem. Panowie nadal rozglądali się dookoła z zainteresowaniem, dokładnie takim, na jakie jarmark zasługiwał.

Było stosunkowo wcześnie, a na dodatek poniedziałek, więc ludzi nie było aż tak dużo, jak bywało wieczorami i w weekendy, a tym bardziej bliżej Świąt. Mogliśmy posiedzieć spokojnie i przyjrzeć się wszystkiemu, przedyskutować kolejne etapy... Albo po prostu pomilczeć. Ja za to miałam czas przyjrzeć się moim podopiecznym, którzy z każdą minutą rozluźniali się coraz bardziej. Jarmark działał. Pierwszy etap na drodze do zmiękczenia ważnych cudzoziemskich gości był zaliczony z sukcesem.

Robert ścisnął za mocno kubek z gorącą czekoladą i oblizywał właśnie dyskretnie palce. Avriel upaśćkał się, zdejmując z szaszłyeczka truskawki w czekoladzie. Mnie udało się uniknąć katastrofy z moim ananasem, więc wyglądałam najczystiej, z czego byłam dość zadowolona — w końcu to ja byłam tu w pracy i musiałam zachowywać jakie-takie standardy. Oni byli na wakacjach, więc mogli sobie pozwolić na pewną swobodę.

Ale też było mi z nimi łatwiej - taki spacer, tylko z dwoma klientami, był znacznie przyjemniejszy, mniej nerwowy i bardziej zrelaksowany niż byłaby całodzienna wyprawa z trzydziestoosobową grupą. Dwóch podopiecznych o wiele łatwiej jest kontrolować, więc można sobie pozwolić na pewne rozluźnienie dyscypliny i zboczyć z wyznaczonej trasy (Kraina miała zresztą wymodelowany w projekcie cały Rynek, a nie tylko wschodnią część). Można porozmawiać o czymś bardziej osobistym, udzielić porady, polecić konkretne stoisko, czy zrobić prywatny zakup, jednocześnie zachwalając towar czy

miejscowego producenta. Przy dużym kramie Bolesławca, zaraz po wejściu na Rynek, spędziliśmy dłuższą chwilę, kiedy panowie podziwiali ceramikę. Ja tymczasem kupiłam sobie cukierniczkę. Każdy ma prawo mieć hobby i coś kolekcjonować. Inne stoiska pozwoliły mi się wzbogacić w paczkę krówek (Robert też się skusił i pomogłam im wybrać coś odpowiedniego) i nowy watek we wzorek w kwiaty. Było niezłe.

Mieliśmy jeszcze mnóstwo czasu, bo panowie maszerowali sprawnie i nie zwłóczyli, nawet jeżeli znaleźli coś interesującego, i nie musiały ich zbyt mocno poganiać do przodu. Tempo mieliśmy niezłe, a dzięki temu, że zaczęliśmy dość wcześnie rano, nie musieliśmy się przeciskać przez tłumy.

Ale mijały minuty i Rynek napełniał się powoli. Ludzkie szemranie napływało falami ze wszystkich stron.

Kuźnia dodawała całości dźwięcznego rytmu.

Grzaniec Galicyjski ze stoiska obok pachniał obłądnie.

Gdzieś w oddali ktoś śpiewał kolędy. Prawdopodobnie był tegoroczny, i ciężko mi go było zlokalizować, więc nie upierałam się przy wycinaniu go. Poza tym nie fałszował.

Obydwaj goście wyglądali na dość zadowolonych z dotychczasowego przebiegu dnia, nawet Avriel przestał tak ponuro łypać na wszystko i wciągał truskawki bez jakiegokolwiek negatywnego komentarza. Zaryzykowałam sprawdzenie nastrojów.

— I jak wam się podoba?

Avriel wyrzucił patyk po truskawkach i tylko mruknął coś niewyraźnego, wstając.

Aha, poszedł po kolejną porcję. Niech mu idą na zdrowie.

Mokra chusteczka poradziła sobie z czekoladą oblepiającą długie, szczupłe palce. Robert wyrzucił ją do kosza i oparł się o stół łokciami, odprowadzając pracodawcę wzrokiem. Pewnie mieli potężne tarcze, skoro go tak puszczał bez stałego bezpośredniego kontaktu.

— Muszę powiedzieć, że jest to dość unikalne przeżycie — powiedział w końcu, jakby z lekkim niedowierzaniem. — Avriel się nie przyzna, bo stara się zgrywać poważnego i obojętnego, ale jest prawdziwie zafascynowany tym, jak działa aura w Krakowie i jak pracujecie na jej bazie.

— Rzadko ma okazję się tak... tak po prostu odprężyć?

Palce wymagały dodatkowej uwagi, ale chyba marzły, bo Robert tylko przetarł je drugą chusteczką i szybko założył rękawiczki, starannie naciągając na nie mankiety rękawów kurtki. Spojrzał na Avriela, który stał tyłem do nas i oglądał pracę kowala, opróżniając powoli drugi szaszłyk.

— Raczej *nigdy*. Od kiedy byliśmy mali, Avriel miał wysoko rozwinięte poczucie odpowiedzialności. Jest zawsze... Zawsze dba o innych bardziej niż o

siebie samego.

— I wy tak od dzieciństwa? Cały czas razem?

Wzruszył ramionami, wyrzucił chusteczkę do pobliskiego kosza. Znowu spojrzął na swojego księcia...

— Jest moim najlepszym przyjacielem. Nikt inny... Ciężko jest zrozumieć ten rodzaj stresu.

— Ciśnienie społeczne musi być potężne.

— Tak, jeden z powodów, dla których poszliśmy obaj na ten sam kierunek. To jest do pewnego stopnia kompromis, tak naprawdę, ale prawo... no cóż, obydwaj na pewno skorzystamy z tego, czego się nauczyliśmy. Jeden z nas jako władca, a drugi jako jego wierny zastępca.

— Serio? Znaczący, szef... No, według mojego szefa, to jesteś tylko ochroniarzem Avriela. Wydawało mi się, że ochroniarz to... no trochę nie to samo co zastępca.

— Ochroniarz, asystent, zastępca, ekspert od cyber bezpieczeństwa. Jedna osoba musi czasem pełnić wiele ról, jak się żyje w kraju rozmiaru pudełka od zapalek, o populacji mniejszej niż niektóre prowincjonalne miasta angielskie — Avriel wyjaśnił sucho, podchodząc szybkim krokiem i biorąc paczkę chusteczek z kieszeni plecaka Roberta. — Wielkie nieba, kleję się. Jak przedszkolak.

— Ile truskawek zjadłeś? — zapytał uprzejmie Robert.

Odpowiedziało mu pełne godności milczenie.

Stłumiłam chichot.

— Spokojnie, jeszcze kilka godzin spaceru przed nami, zanim będzie czas na obiad. Jest dopiero wpół do jedenastej. Kalorie się przydadzą. Pójdziemy teraz na małe zakupy, obejrzyć jeden kościół, a potem w jedno takie... ciche i spokojne miejsce. Myślę, że czegoś takiego jeszcze nie oglądaliście.

####

Po tej przerwie na słodkie drugie śniadanie przespacerowaliśmy się do Sukiennic. Zatrzymaliśmy się przy pozostałościach reklam na łuku wejścia, przetłumaczyłam moim gościom fragmenty ofert.

Robert zrobił zdjęcie widocznym resztkom.

— Ciekawy dobór ofert - atrament i kosmetyki? Czy nadal to samo się tu da kupić?

— Nie, to są stare reklamy, chyba sprzed stu lat. Faktycznie to co można kupić zmienia się z czasem. Oryginalnie było to miejsce handlu materiałami, przyprawami z importu, jedwabiem i woskiem. Krakowscy handlarze sprzedawali lniane tekstylia i sól, bo sól mamy lokalnie. Warto zobaczyć kopalnię, ale to jest kilka godzin zwiedzania, więc musielibyście sobie

wygospodarować pół dnia. Ale polecam, jest interesująca, historyczne instalacje, rekonstrukcje starych urzędzeń.

— Jak bardzo "historyczne"? — zainteresował się Avriel.

— Pierwsze ślady wydobywania są z trzynastego wieku.

Książę jakby się zapowietrzył.

— I nadal jest czynna?

— Nie, teraz już nie. Od 1996 roku jest głównie zwiedzanie. Jeszcze kilka lat temu produkowano małe ilości, tak do 2007.

— Czyli działała...

— Sześćset lat z kawałkiem, plus minus.

— To sześć razy dłużej niż Lobelia istnieje jako coś więcej niż kolonia brytyjska — powiedział nieco zmienionym głosem Robert.

— Pięć — poprawił go książę.

— Sześć, jeżeli liczymy od uchwalenia konstytucji.

— Pięć, jeżeli liczymy od odsunięcia gubernatora od władzy.

— Sześć, pierwsze dwadzieścia lat...

— A-ha. To ja może pokażę wam co jest w środku?

Patrzyli jeszcze na siebie przez chwilę, milcząco kontynuując coś, co wyglądało na jakąś znacznie starszą dyskusję, ale w końcu książę westchnął i przewrócił oczami.

— Jako starszy i rozsądniejszy czuję się w obowiązku ci ustąpić — wymamrotał.

Robert uśmiechnął się zwycięsko i podał mi ramię.

— Avriel, bądź tak dobry i dołącz. W ten sposób na pewno unikniemy tragicznego w skutkach rozdzielenia z naszą przewodniczką — zauważył. — Nie chcielibyśmy wyjść poza zasięg zabezpieczeń, prawda?

Książę szybko znalazł się po mojej przeciwnej stronie i pozwolił się poprowadzić pomiędzy stoiskami.

Zapach drewna, wosku, skóry i kamienia, który nawet w zimie wypełniał przejście między kramami, był jedyny w swoim rodzaju. W połączeniu z lokalną aurą wieloletniego miejsca handlu doskonale działał nie tylko na mnie, z moimi silnymi wdrukami pamięciowymi, ale również na odwiedzających Sukiennice pierwszy raz. Avriel i Robert nie byli żadnym wyjątkiem - rozglądali się z zainteresowaniem i prawie *węszyli*. Kiedy charakter miejsca nie zmienia się przez setki lat, nawet ludzie z zewnątrz natychmiast poddają się wzorcowi zachowań.

— Na początku, w średniowieczu, były tu drewniane kramy, dopiero potem z kamienia. Dla trwałości i dla bezpieczeństwa. Dookoła były inne stoiska, ale te tutaj, wzdłuż uliczki, były głównie z tkaninami. Potem dodali dach... no i zrobiła się taka hala targowa. Po pożarze została przebudowana w obecnie widoczną

formę. Doszło też wtedy piętro, gdzie był prowadzony handel bardziej detaliczny. W dziewiętnastym wieku górne piętro zostało przerobione na muzeum, a dolne dostało podcienia po bokach. Pokażę wam to może później, jeżeli jeszcze będzie czas, jak to wygląda po zmroku, ale teraz są tam mniejsze sklepy i restauracje.

— Czyli nad nami jest muzeum?

— Malarstwa. Najważniejsze... No, prawie najważniejsze zbiory krakowskie. Możemy wejść, nie jest to jakaś potężna wyprawa.

— Avi?

Książę tylko skinął nieuważnie głową, patrząc na sklepienie nad nami.

— Co to za symbole? — zapytał w końcu. — Wyglądają jak... herby szlacheckie? Robert? Jak stoisz z heraldyką?

— Nawet nie będę zaczynał, to ty się interesowałeś tymi wszystkimi arystokratycznymi... detalami.

— Herby miast polskich, dodane tutaj pod koniec dziewiętnastego wieku. Co do stoisk natomiast, to tu jest właśnie główna pułapka na turystów, ale w przeciwieństwie do wielu innych, uczciwa. W takim sensie, że nie ma tu podróbek ani niczego szkodliwego. Jest tylko raczej dość drogo, no i, jak widać, tłum. Bizuteria jest głównie na bazie bursztynu — wskazałam na lewo, gdzie pierwsze stoisko oferowało wisiory i ozdoby — są też korale szklane, prawdziwe koralowe i drewniane. Po prawej macie również dekoracje, wszystko z drewna. Laleczki, te co się wkłada jedną w drugą, są raczej rosyjskie niż polskie co do tradycji, ale tu znajdziecie takie malowane w polskie stroje ludowe. Skrzyneczki...

No tak, stoisko ze skrzyneczkami. Jak tylko je zobaczyli, to miałam żywy przykład tego, że człowiek ma naprawdę dużą porcję DNA wspólną ze srokami.

— Czy to są pudełka? Czy naczynia? — Robert podniósł jeden z okrągłych pojemników i zajrzał do środka. — Zakładałbym, że raczej pudełka, bo nie wiem, czy chciałbym ryzykować jedzenie z czegoś tak dekorowanego.

— Pudełka. Sama używam podobnego do trzymania biżuterii... Chcecie jakieś kupić?

Panowie spojrzeli po sobie.

— Trzy większe i trzy mniejsze — zaproponował Avriel. — Sallah, moja matka...

Robert natychmiast zwrócił się do mnie.

— Pomożesz?

Odbyliśmy długą konsultację na temat kolorów, rozmiarów i rodzajów ozdób, które obdarowane osoby mogą docenić, ale Avriel zaczął przyglądać się łąkom bursztynom dwa stoiska obok, więc przyspieszyłam nasze rozważania. Kiedy w końcu Robert ostrożnie włożył paczkę z pudełkami do plecaka, książkę

kierował się już w stronę gabloty z wisiorami.

— Dziękuję — usłyszałam tylko, kiedy ochroniarz stanął koło mnie, zapuszczając żurawia nad ramieniem Avriela.

— Nie ma za co...?

Oderwałam wzrok od złotych i kremowych łańcuszków, które tak przykuły uwagę księcia i rzuciłam okiem na Roberta.

Bynajmniej nie patrzył na bursztyn.

Dość zdecydowanie patrzył na mnie.

Uśmiechnął się, kiedy zauważył, że zauważyłam.

— Robert? Dla twojej mamy?

Spojrzelśmy na to, co Avriel wskazywał. Był to piękny kawałek, z bąbelkami powietrza i jakimś odłamczkiem rośliny w środku, prawie czerwony, w prostej srebrnej oprawie.

— Myślisz? Nie lepiej... Nie wiem, coś jaśniejszego?

— Do czarnej sukni? Irena, co sądzisz? Mama Roberta ma taką czarną suknię, aksamitną, czy to do czarnej...? W ogóle właściwie nie nosi kolorów, więc...

— Są osoby, które by to założyły do wszystkiego, ale tak, do czarnej sukni będzie dobre. Taka czerwień najlepsza będzie do ciemnych kolorów albo do bieli, ewentualnie beżu. Z innymi rzeczami albo się pogryzie, albo zleje, więc efekt będzie zmarnowany. Do kolorów bym brała coś z tych mlecznych, żeby był kontrast, ale bez konfliktu... No i one bywają w stopach złota. Albo same, na łańcuszku, bez oprawy.

Avriel sprawnie wybrał jeszcze trzy wisiorzy — każdy inny — i nie bardzo mogłam zrozumieć, po co w ogóle pytał o moje zdanie... Wyglądało na to, że ma niezłe oko i zupełnie bez pomocy podobierał do nich kolczyki i podobne typem bransoletki.

Kwota końcowa była dość kosmiczna, więc w sumie cieszyłam się, że Sukiennice były bieżące i panowie mogli zapłacić sami. Zygmunt mógł sobie mówić, że kasa urzędu i tak dalej, ale tego mógłby nie ścierpieć. Chyba nie do końca wiedział, do jakiego budżetu "na prezenty" może być przyzwyczajony książę.

— Czy to są lokalne stroje ludowe?

Pytanie Roberta wytrąciło mnie z chwilowej zadumy nad tym, jaką minę zrobiłby Zygmunt na widok *takiego* rachunku.

— Tak, lokalne, krakowskie. Dla kobiet wianek, korale, biała bluzka, spódnica w kwiaty i haftowany gorset, dla panów pasiaste spodnie, kaftan do pół uda, biała koszula i czapka krakuska. O, tu macie gorset, haftowany koralikami... A tamten tylko nicią. Musi być haft w kwiatki i ciemne tło.

— I każdy ma taki...?

— Oj nie, ale większość dziewczynek miała taki albo podobny w przedszkolu albo w szkole. Przynajmniej za moich czasów. Mój był najładniejszy... — urwałam, bo stoisko obok była wyjątkowo kiczowata porcelana i Avriel wyglądał, jakby mu zaszkodziło natężenie różu. — Chodźmy dalej. Nie wszystko jest warte tych cen i w ogóle, nie należy kupować wszystkiego przy samym wejściu.

Minęliśmy kilka kolejnych stoisk, wzbogacając się tylko o sznur malowanych koralików, bo oferta, jak to w Sukiennicach, powtarzała się mocno oraz nie wszystko miało wysokie walory estetyczne. Z tego, co było autentycznie ładne, drewniane pisanki mają ograniczoną przydatność, a do bombek jakoś żaden z moich gości się nie wrywał. Pewnie ciężko by im było bezpiecznie je przewieźć. Albo nie mieli tradycji.

Dopiero w drugiej połowie Avriel zatrzymał się przy stoisku zastawionym szachownicami.

— Dla Sallah... — czubki palców obadały ciemne drewno inkrustowane prawie białym bursztynem. — Lepszy taki prezent niż jakieś pudełko czy korale.

— Sallah to narzeczona Avriela — wyjaśnił Robert szybko. — I kocha grać w szachy. Tak, Avi. Jak najbardziej, są bardzo ładne. I w twoim ulubionym zestawieniu kolorystycznym.

— One są dla *Sallah*, nie dla mnie — burknął książę. — Czy są podobne, ale bardziej, bo ja wiem, kolorowe?

Przetłumaczyłam. Wyjaśniłam sprzedawczyni, że to dla narzeczonej i że "kolega" szuka czegoś specjalnego.

Oczy jej się zaświeciły, ale poprawiłam niezbyt dyskretnie identyfikator wpięty w klapę płaszcza, żeby nie próbowała Avriela naciąć bardziej niż dowolnego innego turystę.

— Mam wiśniowe drewno i biały bursztyn — zaoferowała. — I drugi zestaw, ciemnozielone drewno i bladozielony bursztyn...

Zielono-zielony zestaw wygrał, zwłaszcza jak pokazała nam też i same figury. Pięknie odrobione w jasnym i ciemnym drewnie, z kontrastowymi akcentami. Avriel wyglądał na zauroczzonego.

Hm.

Delikatnie dotknęłam Szczerości w Handlu. Nieznacznym Kluczem, ale ważnym w takich sytuacjach, bo w przeciwieństwie do stoiska z biżuterią, to nie miało certyfikatu pochodzenia bursztynu. Wyglądało jednak na to, że ani z szachownicą, ani ze sprzedawczynią nie wiązał się żaden nieciekawym problem prawny.

— Poprosimy. Czy coś jeszcze, panowie?

Robert wyłowił spod stosu innych rzeczy piórniki, który wyglądał jak wycięty z jednego kawałka pnia, z idealnie dopasowanymi słojami. Bardzo ładny, ale

skromny jakby, w porównaniu z zakupem Avriela.

Cóż, pewnie była niejaka różnica w budżecie.

Wyszliśmy na płytę Rynku i sprawdziłam zegarek. Było akurat wpół do dwunastej.

Precyzyjnie, kochaniutka. Ty to masz talent. Nawet nie musisz skakać do wczoraj.

Ależ dziękuję, moja droga. Staram się jak mogę.

— Bazylika Mariacka — wskazałam. — Związanych jest z nią kilka legend, co najmniej jedna powieść dla młodzieży oraz różne tradycje. Po pierwsze, za dwadzieścia minut nastąpi otwarcie głównego ołtarza. Po drugie...

Wyjaśniłam kwestię hejnału, trębacza, ataku i urwanej melodii, prowadząc ich do bocznego wejścia dla turystów. Jako przewodnik musiałam tylko pokazać identyfikator u strażnika przy wejściu i mogliśmy wejść bez kupowania osobno kart wstępu, co znacznie oszczędziło nam czas. Pod biurem biletowym kłębił się naprawdę spory tłumek.

Wnętrze było chłodne i ciche. W głównej części kościoła modlili się wierni, więc siedliśmy z boku, czekając na ceremonię, a ja dokończyłam streszczać dzieje powstania kościoła.

— Mówili potem, że młodszy z braci, i mniej zdolny, zobaczył, że jego wieża powstaje wolniej — szeptałam, żeby nie przeszkadzać nikomu naokoło. — I rzucił na brata kłutwę, przez co ten nadział się na nóż, a przynajmniej tak wyglądały rany. Straż nie mogła znaleźć winnego, i nawet sprawni zaklinacze najęci przez rajców miejskich nie mogli dojść, jak morderstwo zostało popełnione, więc rzucili ogólny Urok Wyrzutu Sumienia. Bardzo energochłonny, ale bardzo efektywny.

Obaj syknęli.

— I co się stało?

— Młodszy brat rzucił się z wieży. Śmierć na miejscu, oczywiście.

Powszechnie uznaje się, że był to właśnie efekt Uroku.

Robert potaknął powoli, patrząc na ołtarz.

— Brzmi dość prawdopodobnie. Historia prawa i magicznej detekcji jest pełna takich przypadków. Większość współczesnych systemów sądowych nie używa aż tak bezpośrednich metod, ze względu na często występującą nieproporcjonalną dolegliwość kary w stosunku do popełnionego wykroczenia, ale są takie, które nie mają oporów przed zastosowaniem go, szczególnie w przypadku przestępstw i tak karanych śmiercią — otrząsnął się. — Lobelia nadal posiada ten wpis w kodeksach, ale jest opatrzony... Bardzo wieloma zastrzeżeniami.

— W Polsce podobnie - jest w prawie, ale się go nie używa. Głównie słyszałam o nim w kontekście wyjaśnienia, czemu wieże są różnej wysokości...

O, patrzcie, patrzcie. Teraz.

Ołtarz powoli, ostrożnie, rozchyłał się.

Moi szacowni goście patrzyli w milczeniu. Dokładnie tak samo jak wszyscy inni, których przyprowadzałam na otwarcie ołtarza. Nie ma się co dziwić, lokalne nasilenie emocji w aurze zwielokrotnia samo wrażenie związane z ołtarzem jako dziełem sztuki.

Rzadko który obiekt jest tak nasycony magią własną artysty, że pozostaje praktycznie nieuszkodzony przez setki lat, ale Ołtarz Wita Stwosza był jednym z tych nielicznych przypadków. Pokolenia konserwatorów zajmowały się wyłącznie powierzchownymi naprawami i oliwieniem zawiasów, oraz okazjonalnym remontem w przypadku uszkodzeń dokonanych z premedytacją. Niestety, zdarzali się wandalę, którzy nawet w Kościele Mariackim próbowali swoich sił.

Co ciekawe, plotka głosiła, że ostatni chuligan, który próbował ukraść jedną z figur z ołtarza, rzucił się z niższej z wież. Nikt nie wiedział dokładnie, czemu.

####

Wyprowadziłam ich na zewnątrz na czas, żeby usłyszeli hejnał, a następnie przekierowałam nas na zachód, omijając większość jarmarku po północnej stronie Rynku, a za to zahaczając o sklep Wawelu. Bez problemu dali się namówić na kupienie agrestu i rabarbaru w czekoladzie.

Avriel patrzył na swojego ochroniarza z wyraźnym rozbawieniem, kiedy ten usiłował spakować ich najnowsze nabytki.

— Nie za dużo tego wzięłeś? — zatroskał się, dość wyraźnie fałszywie, bo uśmiechał się przy tym bezczelnie.

— Ależ skąd. Poza tym, należy się słuchać przewodnika, prawda? Lokalny przewodnik zawsze wie, co dla turysty najlepsze.

Robert popatrzył na mnie znad solidnie już załadowanego plecaka. Unosząc brew.

No popatrz pani. Ktoś tu z panią flirtuje.

Powiedzmy.

Oj stara się chłopak. Daj mu szansę.

To klient. Opanuj się.

— Wszystko masz? To chodźcie. Trzymajcie się mnie teraz, dopóki nie powiem, że można się oddalić.

####

Ani Mariacki ani Sukiennice nie były specjalnym wyzwaniem w zakresie

precyzji. Codziennie można było do nich pójść i dostać to samo. Skok tydzień czy miesiąc wstecz, efekt będzie ten sam. Jarmark i Mały Rynek były owszem, wymagające i bardzo efektowne. Ale to nie one były perełką w mojej osobistej wycieczce po zimowym Krakowie. Perełką była znacznie cichsza i delikatniejsza.

Perełki nie pokazywałam wszystkim, ale pomyślałam, że goście z odległej, tropikalnej wyspy zasługują na przeżycie z przytupem, więc nadszedł czas na Plac Szczepański.

W ogóle nie miało to związku z tym, że ochroniarz był sympatyczny i przystojny. Przecież musiałam przez te trzy lata oprowadzać jakichś niebrzydkich, a nie pamiętałam, żeby jakiś zrobił na mnie takie wrażenie, żebym była gotowa specjalnie dla niego wywoływać Złanie na Placu Szczepańskim.

Po prostu chciałam, żeby Kraków zrobił jak najlepsze wrażenie na księciu Avrielu. Zero dodatkowych przyczyn.

Plac Szczepański był tak uroczy jak tylko umiałam go zmontować. Śnieg pokrywał go puszystą warstwą, jak cukier puder na przeładowanym gofrze, załamując się na szczytach oparc ławek i gromadząc w grubych wałkach na krawężnikach, a żółte sodowe światło nadawało całości ten specyficzny charakter, który ludzie z mojego pokolenia i ciut starsi prawdopodobnie odruchowo kojarzą z "obudziłem się w nocy, śnieg sypał, wszystko było pomarańczowe" z lat dziewięćdziesiątych.

Przynajmniej ja tak mam.

Ilekczo zdarzyło mi się wracać w zadymce do domu późną nocą, to te pomarańczowo-żółte przestrzenie, cudownie odrealniające całe otoczenie, zapisywały się w mojej głowie jako "to jest prawdziwa zima".

Nie szara breja, w której brniemy w ciągu dnia.

Nie dujący uparcie wiatr, wdzierający się pod każdą kurtkę i szalik.

Nie zamrażające kałuże pokryte drobną warstwą śnieżku, podstępnie czające się na nieuważnego przechodnia.

One są denerwujące, uciążliwe i niebezpieczne.

I tak, każde z nich sugeruje, że zima, i że mróz, i że należy się przygotować uczuciowo i organizacyjnie na Święta, Nowy Rok czy ferie.

Ale to, co mojemu mózgowi mówi "JEST ZIMA" to właśnie żółte światło i nietknięty ludzką stopą, świeżo spadły śnieg.

Jeszcze nie przyszarzyły go spaliny.

Jeszcze nie przyciemnił go smog z tysięcy śródmiejskich pieców.

Jeszcze nie sypnął na niego solą nadgorliwy dozorca.

Może przecina go ścieżka śladów łapek miejscowego kota albo widać odbite pazurki przedsiębiorczych krukowatych, które w takich miejscach liczą na pożywienie.

Miałam w głowie dokładnie taki Plac Szczepański, z konkretnego dnia i godziny. Czasem opłacało się raz w trakcie studiów być na mieście o piątej rano w środku zimy.

Avriel przyglądał się widokowi w ciszy. Na którą tenże widok jak najbardziej zasługiwał.

Było wszystko.

Nietknięty śnieg, idealnie podświetlony Pałac Sztuki, latarnie. Zimujące rośliny przysypane były tak grubo, że nie szło rozróżnić, jakiego były gatunku, ale wyglądały jak zwały nieregularnej piany z białek albo bitej śmietany zgromadzonej na trawniku i trójkątnych klombach.

Avriel zrobił krok na jezdnię, ale Robert przytrzymał go za ramię.

— Czy... tak wolno? W sensie, wejść na taki niezdeptany...? To jest do oglądania, czy możemy...?

Zrobiłam przyzwalający gest. Aura łatała takie rzeczy bez problemu, oryginalny śnieg pozostawał nienaruszony, a nasz malutki przeskok w czasie pozwoli moim gościom doświadczyć czegoś, co na tropikalnej wyspie - a i pewnie w Wielkiej Brytanii - nie jest dostępne.

— Cały plac dla was, tutaj jest specjalne ustawienie. Bąbelek w aurze jest stabilny i obejmuje to wszystko, co widzicie, możecie sobie pochodzić, obejrzeć, zdjęcie zrobić, dotknąć... Tylko nie wychodźcie poza obrys ulic. Ale nikt poza nami tu nie wejdzie, więc nie ma żadnego ryzyka, dopóki jesteście na terenie placu. Praktycznie nie istniejemy dla świata zewnętrznego.

Avriel delikatnie, ostrożnie, czubkiem buta zrobił ostry ślad w kopce puchu leżącej na końcu krawężnika okalającego klomb. Przyjrzał się efektowi dokładnie. Zrobił kolejny ślad, zafascynowany.

Robert powiódł kantem dłoni po oparciu ławki, zbierając małą przygarść śniegu. Dmuchnął w nią, patrząc z zadziwieniem, jak prawie suchy lodowy pył unosi się w chmurę w mroźnym powietrzu.

Trącił krzak, z którego posypała się biel jak z sitka pełnego mąki.

Stałam przy narożnym klombie i obserwowałam, jak idą przez śnieg, jak młode koty, które pierwszy raz widzą podejrzany, zimny, biały proszek, i stawiają ostrożnie kroki, podziwiając jak się zapada i skrzypi pod ich nogami.

Avriel wyjął telefon i próbował zrobić zdjęcie czemuś na gałęzi drzewa przy Pałacu Sztuki, ale Robert wrócił — nieco naokoło, bo drugą stroną placu — do mnie. Otrzepywał ręce z resztek bieli, przyglądając się swoim śladom na asfalcie i wysokim, delikatnym ściankom śniegu, stojącym na czarnych gałązkach krzewów.

— W życiu nie widziałem czegoś takiego — głos mu jakby lekko drżał - z zimna czy z ekscytacji? — Byliśmy w kilku miejscach w Europie, ale głównie latem. Taki śnieg, nienaruszony, taki widok...! Coś... coś niesamowitego...! U

nas nie ma zimy, rozumiesz, jest tylko pora deszczowa, a w Anglii czy Irlandii owszem, padało, ale nigdy nie utrzymało się w takich ilościach!

— Czyli co, to jest wasza pierwsza pełnowymiarowa zima?

— Myślałam, że te w Anglii przygotowały nas jako tako, ale z bliska... — potrząsnął głową.

Książę zdołał widać wreszcie złapać odpowiednie ujęcie, bo chrząknął z satysfakcją i schował telefon, brnąc w naszym kierunku przez kopną biel. Zebrał garść śniegu z ławki i spróbował zrobić śnieżkę. Spektakularnie mu się to nie udało - było dostatecznie zimno, żeby się nic nie chciało ukleić. Nie była to ani pogoda na śnieżki, ani na bałwana. Avriel spojrzał na kupkę sypkiego śniegu z wyraźnym rozczarowaniem i otrzepał rękę o kurtkę.

— Jak zimno było w...? — wskazał dookoła nas.

— Dziewięćdziesiąty dziewięty. W Wigilię było minus piętnaście stopni.

Obydwaj zatrzęśli się dość teatralnie.

— Minus *ile*?

— Piętnaście. Pięć stopni Fahrenheita.

Robert zaszczekał zębami, chyba już tym razem szczerze z zimna. Mimo puchówek i wełnianych szalików nie byli tak naprawdę ubrani na taką pogodę. Cienkie rękawiczki Roberta raczej nie zapewniały dostatecznej ochrony. Moje jednopalczaste wełniane ledwo dawały radę... Ścisnęłam lekko jego palce i wyciągnęłam rękę do Avriela, żeby upewnić się, że wszyscy będziemy w bezpiecznym zasięgu, kiedy odblokuję ten kawałek Złania.

— Chodźmy w jakieś cieplejsze miejsce i coś zjedzcie. Nawet trzy szaszłyki truskawek to za mało, żeby wam wystarczyło na długo.

— Ja piłem tylko gorącą czekoladę! — zastrzegł Robert, tonem nastolatka usprawiedliwiającego się przed nauczycielem.

I wyglądałeś nieprzyzwoicie, zlizując ją sobie z palców, dodała moja uprzejma wyobraźnia.

Cieszowska, odłóż te kosmate myśli na bok, bo jeszcze coś powiesz na głos i będzie gafa.

Ależ Ireno, co też Irena.

Tak, jestem jak więdźmy, mam Drugie Myśli.

Czasem może od nich szlag trafić, bo ta Druga Irena komentuje z zapałem. I się czepia.

— Pytanie teraz, czy chcecie coś zjeść od razu, ale w restauracji z naleśnikami bretońskimi, czy raczej coś tradycyjnego regionalnego, do czego trzeba będzie kawałek podejść?

— Regionalne — wyrwało się Robertowi. — Avriel?

Książę wzruszył ramionami.

Jak bardzo mnie kusiło, żeby go palnąć...

Wyjęłam telefon i wysłałam szybko SMSa.

Minęliśmy więc Pod Ogródkiem (trzymałam się zimy, więc ogródek i tak był zamknięty) i Osoryę i podreptaliśmy dalej Jagiellońską, aż do Świętej Anny, gdzie już tylko z oddali pokazałam im kościół i jego otoczenie, bo ten kawałek nie był specjalnie dobrze odśnieżony i nie chciałam ich już ciągnąć dalej w błotko.

— Tu już zaczynają się budynki Uniwersytetu. Collegium Maius, potem Magicum naprzeciw kościoła, tu przed nami archeologia... A tu, w lewo w Gołębią, kolegium Witkowskiego, czyli Instytut Historii... Kiedyś była tu jeszcze psychologia i jej okolice, włącznie z psychomagiką. No i Collegium Novum, czyli rektorat.

— A to gdzie są dormitoria? W tych kamienicach dookoła?

Avriel rozglądał się, usiłując ogarnąć plan okolicy, zerkając czasem na mapę na telefonie.

— Nie, nie. Tutaj jest tylko administracja, biblioteki i sale wykładowe. Chodźmy dalej, ruszajmy się, nie ma co stać w tym śniegu. Po drodze wam wyjaśnię, jak wygląda życie studenckie w tym mieście. Nie żebym sama uprawiała go za wiele, bo jestem tutejsza i do magisterium mieszkałam z rodzicami, więc ominęły mnie typowe rozrywki dostępne w akademikach...

Skręciliśmy w Gołębią, gdzie starannie poprawiłam ilość śniegu i usunęłam te kilka losowych samochodów zaparkowanych akurat tak, że ciężko było je ominąć.

— Dwie najważniejsze uczelnie w Krakowie to Uniwersytet Jagielloński, czyli moja alma mater, i Akademia Górniczo-Hutnicza, czyli największa nasza uczelnia techniczna. Uniwersytet ma budynki właśnie tutaj, ale i w kilku innych miejscach na mieście a Akademia głównie tak w tamtą stronę, około kwadransa spaceru stąd — machnęłam mniej więcej w kierunku Miasteczka. — Oprócz tego mamy stado mniejszych, ale nadal poważnych uczelni, nie licząc oczywiście chmary szkół prywatnych, ale tych *nie* uważamy za do końca poważne...

Przerwałam wyjaśnienia tylko na kilka minut potrzebnych mi do zrobienia zakupów w papierniczym na rogu Gołębiej i Wiślniej i skręciliśmy z powrotem w stronę Rynku. Uzupelnienie zapasu ukochanych włoskich kredek było ważne, zwłaszcza że jedyny sklep oferujący je zamknął się w późnych latach dziewięćdziesiątych.

I w końcu dotarliśmy do miejsca, które było znacznie bardziej atrakcyjne dla turystów z Polski niż dla obcokrajowców.

— Budynek tu na rogu to tak zwany Pałac pod Baranami, a w jego podziemiach jest Piwnica pod Baranami — wskazałam krótko. — Jednocześnie nazwa lokalu i instytucja, nawet nie wiem za bardzo to wytłumaczyć.

Kabaret. Ma własną zlokalizowaną aurę i wiele osób twierdzi, że połowa artystów to również Zaklinacze albo wręcz utalentowani Twórcy. Nie używają otwarcie magii, iluzji optycznej ani korekty dźwięku, ale licho wie, może być w tym ziarno prawdy. Nie wszystkim ten klimat pasuje, oczywiście, ale ja, jakbym mogła, spędzałabym tu każdy sobotni wieczór. Minus jest niestety taki, że nie mogę podzielić się tym doświadczeniem z nikim, kto nie mówi po polsku, bo wiele z tego, co się dzieje na scenie polega mocno na grze słów albo żartach językowych, a tego nie jestem w stanie dla was przetłumaczyć.

Robert zmarszczył brwi, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

— Przepraszam, może to zabrzmiało niezręcznie — zaczął, bardzo ostrożnie. — Ale mówisz bardzo dobrym angielskim i... Rozumiem, jeżeli nie czujesz się na siłach oddać jakichś niuansów, ale... — spojrzał na Avriela i umilkł.

Książę łypnął podejrzliwie. No tak. Faktycznie. Taki mały detal pominęłam. Westchnęłam ciężko.

— Ja nie mówię po angielsku — zaczęłam, i podniosłam rękę, kiedy obaj wyglądali, jakby mieli mi zadać pytanie. — Inaczej. Uczyłam się angielskiego, przez ładnych kilka lat, i normalnie byłabym w stanie prawdopodobnie oddać z sensem żart czy dwa. Natomiast, jako przewodnik, mam rzucony Urok Wyższy, który obsługuje za mnie komunikację we wszystkich możliwych językach.

— Ale...

Avriel uciszył Roberta, obaj wpatrywali się we mnie z nienacką bardzo uważnie.

— To niestety oznacza, że nie jestem w stanie sterować dokładnie takimi detalami jak dowcipy językowe czy chociażby poezja, bo Urok nakierowany jest na jasność przekazu, a nie na... — wzruszyłam ramionami — na szczególny odcień emocjonalny czy humor.

Taka była niestety prawda. Urok służył do tego, żeby ludzi poinformować skutecznie, a nie żeby ich zachwycać jakimiś subtelnościami słowotwórczymi.

— I to działa w obie strony? — zapytał w końcu Robert. — Ty nas słyszysz w jakim języku...?

— Jakbyście mówili po polsku. Wiem, że raczej tego nie robicie, ale mój mózg słyszy polski.

Znowu popatrzyli po sobie. Zrobiło mi się nieswojo. Im pewnie też. Nie za często ktoś interesował się dokładnie, jakim cudem przewodnicy miejsca mówią w każdym możliwym języku, ale zwykle po wyjaśnieniu ludzie robili właśnie takie miny, o, jak książę i jego ochroniarz zrobili właśnie w tej chwili.

Poczułam potrzebę zmiany nastroju. Nurzanie się w detalach tego, jak działają obciążające Uroki Wyższe nigdy nie było miłe, a dotąd dzień mijał nam bardzo przyjemnie. Nie chciałam tego zepsuć.

— Widzicie tamtą rzeźbę, przy filarze? To na pamiątkę założyciela tego

kabaretu. Chodźcie, zrobię wam z nim zdjęcie. Wiele miast ma ławeczki ze znanymi osobami, a my mamy Skrzyneckiego.

— To tak jak Andersen w Central Parku?

— Mniej więcej, tak. Tylko zdaje się przy Andersenie nie można usiąść... A przy Skrzyneckim owszem, bo on siedzi przy stoliku, do którego można dostawić krzeselka.

Przy Skrzyneckim była nawet nieduża kolejka, bo dzieciaki pchały się, żeby popatrzeć na rzeźbę, a Robert jednak poprosił o wyjaśnienie, więc streściłam mu (a jednocześnie też podsłuchującemu a udającemu obojętnego Avrielowi), możliwie przystępnie pochodzenie i historię Piwnicy, i próbowałam ubrać w słowa czym ten kabaret różni się od wszystkich innych. Ciężko szło, bo jednak w znacznej części dla mnie Piwnica to coś, co się czuje, a nie zawsze rozumie, ale chyba udało mi się przekazać tę wizję kombinacji tradycji, dokumentnego poetyckiego szaleństwa, dowcipu, magii, aktorstwa i muzyki.

Słuchał, zadawał pytania, więc wyjaśniałam, opowiadałam... No i w efekcie zaparł się, że chcą to zobaczyć. Avriel nadal próbował symulować brak zainteresowania, ale wyraźnie jego też ciągnęło.

Westchnęłam. Ewidentnie mieli na mnie zły wpływ. A raczej miał, nie mieli. Niby miałam postanowienie, żeby nie robić takich rzeczy, ale te zielone oczy, wlepione we mnie prosząco, działały. Jak licho. Istniało ryzyko, że byłby mnie w stanie namówić do różnych występów przeciw zdrowemu rozsądkowi, a nie tylko do skoczenia na nieprzetłumaczalny występ.

— Dobra, to tylko tak. Mój Urok *naprawdę* nie radzi sobie z grą słów i dowcipami. Bardzo. Więc nie będę wam tłumaczyć skeczy. Wejdziemy sobie pod sam koniec, kiedy większość gadanych numerów już przejdzie i będzie tylko kilka piosenek i finał, OK? Nie mamy całego dnia, a to potrafi być i pięć godzin przedstawienia...

Pokiwali szybko głowami.

— I idziecie równo ze mną, a jak powiem to się zatrzymujecie... Jasne?

— Czy to jest niebezpieczne?

— Nie jako takie. Ale musimy skoczyć w czasie do konkretnego przedstawienia, więc na widowni siedzę trzynastoletnia ja. Kontakt niewskazany. Teoria mówi, że nie możemy wywołać paradoksu, bo wszystko jest opakowane przez Klucz, ale lepiej nie ryzykować.

Podeszliśmy do schodów do Piwnicy, gdzie odwinęliśmy się z szalików i czapek, żeby nie zwracać na siebie niczyjej uwagi - niby aura załatwiała większość nieciągłości, ale nie przesadzajmy. I sprowadziłam nas do maja 1995, bardzo, bardzo precyzyjnie. To było możliwe, jeżeli miało się w głowie konkretne wydarzenie i okoliczności. No i było się mną. Mało kto z zespołu dałby radę trafić tak dokładnie.

I właśnie dlatego Zygmunt ci ufa i daje Złanie bez blokady.

Był maj, kwitły kasztany, Cichosza była bezustannym, ciągłym hitem, Skrzynecki prowadził kabaret a z przodu widowni siedziała mała piegowata Irena, wgapiąca we wszystko wielkimi oczami.

Wysuwała z pliku banknotów trzech Moniuszków i wręczyłam pilnującemu drzwi, żeby nas po cichu wpuścić. Wślizgnęliśmy się za ludzi przy samej tylnej ścianie - Avriel przodem, a Robert za nim, bo inaczej nie mieliby wiele szansy czegokolwiek zobaczyć. Wspięłam się na palce i oparłam o ramię Roberta, żeby sprawdzić, co się dzieje na scenie - trafiłam co do minuty, bo Turnau właśnie siadał za fortepianem.

Są osoby, które niezależnie od wszystkiego innego po prostu umiem rozpoznać i już.

Pogratulowałam sobie w duchu kolejnego precyzyjnego przeskoku i cofnęłam się nieco, bo, w przeciwieństwie do moich podopiecznych, nie musiałam patrzeć na scenę.

Wiedziałam już, jak to brzmi, jak to wygląda, jakie to uczucie. Wiedziałam, że mała Irena ma gęsią skórę i się trochę trzęsie. Wiedziałam, że po pierwszym "Po cichu" ktoś zacznie klaskać.

Rzuciłam okiem na Avriela, który stał z założonymi na piersi rękami, a potem na Roberta. Zamarł, mrugając tylko czasem, patrząc na scenę ze skupieniem.

- ...i pa-atrzu...

...i ten głos, i to tętnienie na fortepianie i ta narastająca natarczywość i napięcie, i ten obój w tle, ten obój, który każdy w tamtych czasach rozpoznawał bez zastanowienia...

...miałam gęsią skórę, dokładnie tak samo jak mała Irena.

Avriel zrobił urwany krok w przód, ale tłum był za gęsty. I tak złapałam go za łokieć i przytrzymałam.

— Nie powinno nas tu być — wymamrotałam. — Więc lepiej, żeby nas nikt nie zauważył. Im mniej się wyróżniamy, tym mniej aura ma do naprawiania.

Cofnął się jeszcze bliżej drzwi, pewnie nie widział już nawet całej sceny, ale nie odrywał od niej oczu. Robert patrzył nad jego ramieniem.

Ja patrzyłam na nich.

Turnau skończył. Widownia szalała, klaskała i wydawała odgłosy wszelakie. Ktoś inny wyszedł, zaśpiewał. Nie zwracałam uwagi na szczegóły.

Może to kwestia tego, że znałam duże kawałki tego konkretnego przedstawienia niemal na pamięć.

A może się trochę zagapiłam na pewnego ochroniarza, który z kolei co kilka chwil popatrywał na mnie z miną kompletnego niezrozumienia. Potrząsnęłam tylko raz głową - nawet jakbym chciała, nic nie mogłam przetłumaczyć na tyle dobrze, żeby był z tego pożytek.

Kolejna piosenka.

I kolejna.

Avriel oparł się plecami o kamienie ściany i przetarł twarz. Sygnet zaświecił w ciemnościach, jakby był samodzielnie zasilany. Robert cofnął się jeszcze kawałek, zostawiając tylko kilka centymetrów między nami. Nie wyglądał, jakby mu bardzo przeszkadzało to, jak blisko stoimy. Nie odsuwałam się. Mi *zdecydowanie* nie przeszkadzało. Poza tym miałam usprawiedliwienie - za mną już i tak prawie nie było miejsca.

Wybrzmiała jeszcze jedna piosenka. Przedostatnia.

Wiedziałam, co teraz będzie, ale przecież za każdym razem ten sam dreszcz, ta sama gęsia skórka, to samo napięcie. Złapałam Roberta za łokieć i skinęłam głową w stronę sceny, żeby uważał, i sama wychyliłam się na tyle, żeby złapać kluczowe momenty.

I wyszedł, w kapeluszu z piórkiem, cichy i koncertowo-końcowy, zagarniający artystów na scenę, zapowiadający, zamykający, żegnający - odrywający piosenkarzy, skrzypków i pianistów od wina, herbaty czy wódeczki konsumowanej między numerami za kulisami - i pierwsze "pam, pam-pam, pam-pam" i byłam jak zahipnotyzowana, bo przecież to już niemal bezwzględne uwarunkowanie, to *Dezyderata...*

Siłą oderwałam wzrok od sceny i odwróciłam się do Avriela, żeby jednak — cokolwiek! — pokrótce wyjaśnić, ale teraz to on potrząsnął głową i stał tak, wpatrzony w kolorową grupę, oświetloną przytłumionym, bursztynowym reflektorem. Spojrzałam na Roberta, który w tym samym momencie popatrzył na mnie, oczami szerokimi w półmroku, i tak na sekundę zapomniałam, gdzie jesteśmy, ale w tym momencie weszła pierwsza fraza.

— ...Dezyderata, dezyderata...

I te zestawy, po trzy wspaniałe głosy na mikrofon, jak oni to robili...

Kiedy już artyści zeszli ze sceny, stanęliśmy z boku, patrząc na ludzi wylewających się z widowni - ja ciągle nieco roztrzęsiona, panowie lekko zadumani i skupieni.

— I to jest *kabaret*? — zapytał w końcu Avriel. — Ale przecież... To było... poważne?

— Kabaret literacki... Poezja śpiewana, trochę występów mówionych, trochę... różnych rzeczy. Tak jak wam tłumaczyłam, skecze takie czysto *kabaretowe*, w sensie satyry, albo żartów improwizowanych, są tu rzadko. Zwykle coś, co ma drugie, trzecie dno. Aluzje do obrazów. Do polityki. Wieczorki kolędowe...

— I ten konferansjer?

— To założyciel całego kabaretu, ten sam, z którego figurą robiliście sobie zdjęcia. Chodźcie teraz, sprawnie — ustawiłam się starannie trzy osoby za

panią w ozdobnym kapeluszu. Jej córka właśnie poprosiła Skrzyneckiego o autograf, a następnie uściskała go entuzjastycznie, podczas gdy mała Irena patrzyła na nią ze zdumieniem. — Dobry wieczór, mam tutaj dwóch gości z zagranicy, czy możemy zdjęcie?

Szczęśliwie moja cyfrówka bardzo dobrze udawała zwyczajny analogowy kompakt, idealny na czasy, w których aparat w telefonie mógłby ściągnąć na nas niepotrzebną uwagę. Starannie dobrałam model tak, żeby się nie rzucał w oczy przesadną nowoczesnością, więc ze spokojem pstryknęłam panom kilka zdjęć ze Skrzyneckim, który stał na schodach do Piwnicy, żegnając wychodzących gości.

####

Po strawie duchowej nadszedł czas, żeby nakarmić moich biednych turystów, bo obaj zaczęli wyglądać już cokolwiek smutno i chyba zmarzli. Po tym, jak Robert zdecydował za nich obu, optując za lokalnymi daniami, już zarezerwowałam dla nas miejsce w najbardziej odpowiednim do tego lokalu, więc skręciliśmy spod Baranów prosto w tamtą stronę.

Mówmy sobie szczerze, Wierzyńki i inne takie mogą cudować i bujać, ale jak ktoś chce tradycyjnie i po polsku, to czy jest popularnym pisarzem czy małym znanym księciem, pierogi w Chłopskim Jadle to jest to. Poza tym ich porcje zawierają uczciwe, sycące ilości wszystkiego co dobre i sprawdzone, a nie eksperymentalną pianę z mięsa jelenia i kaczych jajek w jednostkach wielkości oszczędnego znaczka pocztowego.

Wnętrza, wielkie drewniane stoły, ławy wyściełane baranicą, piwniczne sklepienia i drewniane akcesoria kuchenne celowały w podobieństwo do wnętrza wiejskiego dworku, albo wręcz chaty, które nawet u obcokrajowców wywoływało wrażenie domowości, ciepła i przytulności, i to mimo że restauracja była w centrum dużego miasta.

Szczęśliwie w środku nie było przeraźliwego tłumu, a zarezerwowany dla nas stolik był cichy i poza głównymi ciągami komunikacyjnymi.

Odłożyłam torbę na ławę i zdjęłam rękawiczki, kiedy panowie się rozglądali, zapewne pierwszy raz widząc lokal udekorowany tak bardzo na ludowo.

— Wieszak jest tutaj...

Zagapiłam się na Roberta.

Tak, zagapiłam.

Zdjął właśnie kurtkę i to, co było pod nią, było jeszcze bardziej atrakcyjne niż się spodziewałam. Czarny golf, opinający go wręcz nieprzyzwoicie, ciut jaśniejsza grafitowa marynarka sportowa i rozwiązany miękki szary szaliczek. Wszystko razem stanowiło kombinację faktur, od której palce zaczynały mnie

swędzieć. Chciałam sprawdzić, jakie to wszystko było w dotyku, jaki *on* był w dotyku...!

— Irena?

Otrząsnęłam się. Kurtka Roberta już wisiała, a on tymczasem czekał cierpliwie na mnie.

Ach. Żeby pomóc mi z płaszczem.

Rozpięłam guziki, rozwiązałam pasek i zawahałam się.

Dać sobie pomóc czy być kobietą niezależną i...

Robert nie czekał na moją decyzję. Stał już za mną i podtrzymywał mi płaszcz, tak żebym mogła się z niego wygodnie wyplątać bez ryzyka ubrudzenia go o podłogę.

Odwiesił go obok swojej kurtki, podczas gdy ja patrzyłam z fascynacją. Był... O rany, no. Był akurat. Senne marzenie. W sam raz. Szczupłe biodra, szerokie ramiona, długie dłonie, dobrze ubrany, czego tu nie lubić? A na dodatek...

Obrócił się w moją stronę. I uśmiechnął. I te zielone oczy, jak u kota, świecące jak oliwiny.

I loki. Coś mi zatrzepotało w środku, kiedy przeczesał je do tyłu palcami. Siłą powstrzymałam się od odtworzenia sceny z Kapitana Ameryki, ale ręka mi drgnęła prawie jak Peggy Carter.

Podskoczyłam nerwowo, kiedy Avriel odchrząknął znacząco.

Obejrzałam się na niego i zastanowiłam się przelotnie na ile właściwie zmieniły się ostatnimi czasy gusta ludzkie — kobiece — jeżeli chodzi o męską urodę, jeżeli to *Avriel* miał być tym, na którego kobiety zwracały uwagę. Nie byłam w stanie go porównać do żadnego bieżącego celebryty, oczywiście, więc może przez te trzy i pół roku wykuło się coś nowego, ale i tak mi to nie pasowało. Cóż, nie mi oceniać cudze potrzeby estetyczne. Moje opierały się przecież na zupełnie innych aspektach wyglądu niż te rejestrowane przez średnią krajową.

Robert ukłonił się, przepuszczając mnie w kierunku stolika.

— Pani przodem.

Aż pożałowałam, że siedzieliśmy na ławach. Może w innym lokalu przysunąłby mi krzesło? Może...

Bądź poważna, chociaż przez chwilę.

Siedli naprzeciwko, Avriel bliżej ściany a Robert od przejścia, i zajęli się czytaniem menu, a ja tymczasem dyskretnie sprawdziłam telefon. Jeden SMS od siostry, nic pilnego, sugestia żebym przyjechała i obejrzała z nimi "Wielkiego Mysiego Detektywa", bo przypadkiem jej wpadło DVD w ręce i czekają na mnie. Poza tym cisza.

Oderwałam się od ekranu i spojrzałam na nich.

Avriel nadal czytał menu, ale Robert... Robert patrzył na mnie. Uśmiechając

się. Podniósł brwi, kiedy nasze oczy się spotkały.

Spuściłam wzrok.

I tak nic z tego nie będzie, złajał mnie rozsądniejszy kawałek mojego mózgu. On może ci rzucać powłóczyste spojrzenia, być słodkim dżentelmenem i co tylko, a ty musisz go grzecznie oprowadzić...

— Irena? Pani o coś pyta...

Robert.

Musiałam się za bardzo zamyślić.

— Czy są państwo gotowi złożyć zamówienie?

Idealne pytanie, żeby wybić mnie z nastroju.

I bardzo dobrze. Skup się na pracy!

— Poprosimy na początek herbatę dla wszystkich, a ja jeszcze będę musiała wyjaśnić panom szczegóły co jest czym w menu, dziękuję.

####

Avriel patrzył z nieufnością na musztardę, na naczynie ze smalcem i nawet na grubo krojony wiejski chleb. Nie jestem przesadną wielbicielek smalcu, ale demonstracyjnie rozsmarowałam sobie porcję na kromce i spożyłam, niech ma chłopak gwarancję, że nie ma w tym żadnej trucizny (oczywiście pomijając to, że mogłabym być uodporniona na miejscowe bakterie, ale ponoć Lobeliańscy byli tacy superzdrowi, tak?).

Robert drugi sięgnął po kromkę i nałożył sobie grubą warstwę.

— Na zdrowie, ale ja bym brała cieniej...

Wbił w chleb zęby, zupełnie nie zwracając uwagi na moje ostrzeżenia.

No dobra, dorosły jest.

Może robi za testera trucizn Avrielowi?

— Ałłł, to bobłe.

Jego Wysokość Księżę Lobelii zakrył twarz ręką na widok swojego ochroniarza, a najlepszego przyjaciela, radośnie wpieprzającego chleb ze smalcem i cebulą.

Zamaskowałam śmieszek kaszlnięciem.

— Nie mam pojęcia, co on powiedział. Tego to nawet mój Urok nie obejmuje. Przełknij, człowieku...! Jak on w ogóle dotrwał do dorosłości? I nie zadławił się jedzeniem w Anglii?

Avriel odchrząknął.

— Brytyjskie jedzenie chyba nie wywołuje w nikim aż takiego entuzjazmu, a za to pobyt tutaj budzi w nim jakieś... nieodpowiednie instynkty. Robert, przestań. To już nawet nie przedszkole, w żłobku się tak nie zachowują!

Robert, niewzruszony naszymi komentarzami, dokończył smakołyk,

uśmiechając się szeroko. Wyraźnie cieszyło go ciężkie zniecierpliwienie pracodawcy.

Aż się w sumie zdziwiłam — może trochę późno, ale cały ten dzień nie był do końca normalny — że między osobami o zależności w sumie feudalnej (jeżeli Avriel był księciem, a Robert jego ochroniarzem, to prawie jak straż przyboczna, czyli wasal... czyli podwładny...) istniała tak niezwykle przyjazna relacja. Owszem, przyjaciele od dzieciństwa, ale mimo wszystko wydawało mi się, że nawet do kumpli z podstawówki księżęta raczej powinni odnosić się z dystansem. A tu wyraźnie panowie żyli ze sobą w idealnej komitywie.

Cóż, oby Robertowi wyszło to na dobre — taska pańska na pstrym koniu jeździ, więc kto wie, czy się pewnego dnia Avrielowi nie odwiedzi i nie zażąda od ukochanego przyjaciela więcej szacunku a mniej fraternizacji.

Nie twój problem. Ty masz ich dzisiaj oprowadzić po okolicy i dostarczyć na Wawel. Nie naprawisz systemu społecznego obcego państwa w jedno popołudnie. Nawet jeżeli jego uciskany element jest od ciebie przyjemnie wyższy i ma uroczy uśmiech.

Druga Irena była brutalną realistką.

Kelnerka przyniosła napoje akurat w dobrym momencie, wybijając mnie z tego jakże niepraktycznego ciągu myślowego. Dobrałam panom dania z listy według wyrażonych preferencji - szczęśliwie nawet w Chłopskim Jedle nie wszystko było obficie nadziane tłustym mięsem (a biedny Robert po popisie z kromką ze smalcem wyraźnie szukał czegoś lżejszego dla wątroby).

Zamówiliśmy dwie duże porcje pierogów - ruskie raz, kapuściane raz - do podziału na nas troje. Przekonałam ich do wzięcia też małych porcji barszczu i grzybowej, tak na spróbowanie, ponieważ kelnerka obiecywała, że co prawda na pierogi poczekamy, ale za to zupy będą natychmiast.

Chyba mieli w kuchni kogoś z dobrym Urokiem na precyzję wystawiania dań, bo obaj panowie dostali swoje zupy niemal od razu, dzięki czemu spędziliśmy przyjemnie dziesięć minut czekania na pierogi - oni na testowaniu nowego pożywienia, a ja na obserwowaniu, jak zmieniały się ich miny, kiedy spróbowali obu zup.

Robert z nieufnością dźgnął łyżką kawałek borowika.

— I to jest z jadalnych grzybów? W sensie, takich co sobie tak... luzem w lesie rosną?

— Tak. Z konkretnego gatunku, ze względu na smak, ale tak.

— I... to się tak po prostu zbiera?

— Są ludzie, którzy lubią i umieją. Restauracje kupują od licencjonowanych dostawców, którzy gwarantują najwyższą jakość, testy i tak dalej.

Miał sceptyczną minę, ale kiedy spróbował w końcu tego, co miał na talerzu, znacznie się ona poprawiła. Znacznie.

— Avriel, jak myślisz, co by trzeba było zrobić, żeby sprowadzić te grzyby i do nas? — zapytał z rozmarzeniem. — Od wieków nie jadłem nic tak dobrego!

— Nie marudź, po pierwsze zdarzyło nam się gotować, a po drugie były lokale indyjskie dookoła.

— Ale to to samo co w domu — westchnął ciężko Robert. — A w kantynie... Wszystko mdłe, rozgotowane na miękko i takie... brrrrytyjskie.

— Tak, to nie było bardzo ekscytujące. O brytyjskim tak zwanym curry w ogóle lepiej nie wspominać — mruknął książkę, próbując swojego barszczu. — Muszę przyznać, to czerwone jest niezłe. A ty, co wzięłaś...?

— Smażony ser owczy — nabiłam ostatni kawałek oscypka na widelec i starannie oskrobałam z żurawiny. Nie cierpię żurawiny, za każdym razem proszę bez żurawiny, a wszyscy notorycznie to ignorują i potem muszę czyścić. Beznadzieja.

— Owczy? Dużo macie owiec w Polsce? Jedliśmy sery owcze w Anglii, ale u nas nie ma dość przestrzeni na pastwiska, i klimat chyba mało pasujący, więc nie mamy na miejscu... W ogóle, większość nabiału sprowadzamy z Indii. No i u nas jest jednak raczej płasko, a z tego co widziałem, to Polska ma przyzwoitej wielkości góry?

Zeszliśmy na tradycje góralskie. Wytłumaczyłam juhasów, baców, bacówki i inne detale, porównaliśmy z tradycją brytyjską, którą panowie mieli akurat dość dobrze rozpoznaną. Było nam miło, ciepło i nikt na nas nie wpadał ani po nas nie deptał, nigdzie nam się nie spieszyło. Można było spokojnie porozmawiać.

— ...wzory zakłęb przeciwdeszczowych w dzianinie. W dzianinie! Rozumiesz, mają swetry, które są tak zrobione, czy uszyte, czy cośtam, że wyglądają przepaskudnie, ale są idealnie wodoodporne. Jak się ma dojście do miejscowych rękodzielników, to da się znaleźć też specjalistę od skarpet, ale nie próbowaliśmy nawet, bo w domu mało potrzebne... Tak myślę, że na dzisiaj by nam się akurat przydały.

— Ale to ciekawe — zastanowiłam się przez moment. — Czy każdy robiący według wzoru uzyska ten sam efekt, niezależnie od poziomu magii własnej, czy jednak w trakcie robienia nasycają dzianinę magią, która uruchamia się zgodnie ze wzorem. Aż bym sobie poszukała, bo to mogłoby być niezła rzecz do podrzucenia mojej siostrze, gdyby działało bez Zaklinania. Ona dużo robi na drutach, skarpety też, całą rodzinę obskakuje swetrami i takimi tam detalami. Moje rękawiczki też są przez nią zrobione.

— Jak poszukasz... czekaj, co to było? Avriel, to miejsce pod Cardiff, gdzie na targu sprzedawali te swetry?

Avriel popatrzył na niego z powątpiewaniem.

— Naprawdę uważasz, że pamiętam jarmark, na którym byliśmy cztery lata

temu?

Robert wzruszył ramionami z niewinnym uśmiechem.

— Zawsze pamiętasz takie detale, to czemu nie ten? Zaraz obok był festiwal sera.

— Caerphilly — burknął Avriel po chwili. — Oczywiście że pamiętam. Kupiłem tam dla Sallah ten drewniany talerz...

— O właśnie, dziękuję, mój panie — Robert ukłonił mu się lekko, nie wstając z ławy. — Caerphilly. Niedaleko Cardiff, i właśnie tam jedno ze stoisk sprzedawało przeraźliwie brzydkie swetry i skarpety, i stała do niego kolejka zupełnie niepasująca to, no cóż, poziomowi estetyki oferty. Ale dopytaliśmy i wszyscy mówili, że te swetry warte są każdych pieniędzy, nawet jeżeli wyglądają jak worki.

Ty byś nawet w worku...

IRENA.

Otrząsnęłam się i zapisałam sobie nazwę miejscowości. A nuż coś się uda znaleźć.

Straciliśmy wątek, kiedy podano pierogi. Jak to w Chłopskim Jedle, były to dwie poważnego rozmiaru michy, okraszone sownicami i masłem.

Podzielił je w miarę równo na trzy talerze, po czym okazało się, że po pierwsze, raczej będę musiała sama zjeść te z kapustą, bo tak książę jak i jego ochroniarz wykazali się nadwrażliwością na ten akurat zestaw smaków (francuskie pieski, a marudzili, że brytyjska kuchnia ma za mało charakteru!), a po drugie, że trzeba będzie zamówić więcej ruskich, bo się chłopaki prawie pobiły o ostatniego.

Robert wygrał, miał dłuższą rękę.

Poprosiłam o kolejną porcję. Kelnerka tylko pokiwała głową i przyniosła ją znacznie szybciej. Zdecydowanie mieli kucharza z dobrym wrodzonym darem planowania.

Obiecałam Robertowi znalezienie sensownego przepisu na ruskie, ale gdzie ten biedak kupi twaróg, to już nie miałam pojęcia.

####

— Plac Wszystkich Świętych sam w sobie nie jest bardzo ekscytujący, przyznaję, ale jest tu kilka ładnych rzeczy do obejrzenia. To naprzeciwko nas, brązowe, to punkt informacyjny miasta. Nie wszystkim się podoba, ale mi akurat owszem. Kwestia gustu. Teraz skręcimy w lewo i pójdziemy trochę na zewnątrz, obejrzyjcie sobie kościół Dominikanów. Tutaj też widać, o ile węższe były ulice miasta w stosunku do tego, czego potrzebuje nowoczesna komunikacja - dwa tory tramwajowe się mieszczą, ale chodnik jest co najmniej

problemem. W niektórych miejscach trzeba przechodzić pojedynczo, o, tak jak tutaj widzicie, ściana dochodzi bardzo blisko do krawężnika. Jak tramwaj jedzie to bywa bardzo nieprzyjemnie.

Avriel przyjrzał się szerokości chodnika z niejakim niepokojem.

— I to... nie ma na to żadnych przepisów? Jakoś to zabezpieczyć? Nie ma tu wypadków?

Co ja mu mogłam powiedzieć.

— Kościoła nie przesuniesz, bo w Krakowie nawet utalentowani zaklinacze nie biorą się za korygowanie architektury sakralnej. Za mocno wrosła w aurę miasta. Z drugiej strony ulicy jest cały kwartał kamienic, więc też nie do ruszenia, bo z kolei stanowią za dużo osobnych, ale powiązanych jednostek. A sam kościół trzyma odrobinę ochrony naokoło budynku, więc... Nie, nie ma wypadków. Teraz sobie zawrócimy i podejmiemy do tamtego kościoła, gdzie obejrzymy wnętrze. Po lewej stronie od niego jest Urząd Miasta, ale to nie ta sama jednostka, w której pracuję. Nasze biuro jest w znacznie mniej reprezentacyjnym budynku. Tu przejdziemy...

Zapomniałam. Żywcem zapomniałam, że może należało przejść przy przystanku, po asfalcie. Nawet już byłam prawie na chodniku, kiedy noga wyjechała spode mnie na śliskim bruku i byłabym wylądowała kolanami w śniegowej brei, gdyby nie szybki refleks Roberta, i silne ramię, które złapało mnie w pół, podciągnęło do pionu i przytrzymało, aż odzyskałam równowagę.

— Wszystko w porządku? — zapytał z niepokojem, kiedy oparłam się o niego i próbowałam złapać oddech po nagłym skoku adrenaliny. Przez chwilę bolało mnie wszystko, nawet czubki palców zapulsowały, jak uderzone.

Wciągnęłam powietrze, być może nieco drżąco.

— T-tak. Dziękuję, ja...

Nie byłam przyzwyczajona do takiego kontaktu z obcymi?

Nie pamiętałam, kiedy ostatnio ktoś oprowadzany pomógł mi tak fizycznie i bezpośrednio?

Byłam zachwycona faktem, że nie spędzę reszty dnia w przemoczonych spodniach?

Nie powinnam się na nim opierać w tak bezczelnie bezpośredni sposób?

Bo opierałam się i, wielkie nieba. Doprawdy. To *było* całkiem przyjemne.

I bardzo niewłaściwe. Ochroniarz czy nie, Robert *był klientem*.

Podopiecznym.

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Uśmiechnąć się.

Poklepałam jego ramię, usiłując przekazać moją wdzięczność, i odsunęłam się trochę. Poprawiłam płaszcz, przyjrzałam się nogawkom. Było dobrze, nawet się nie zabrudziły.

Tryb profesjonalny.

Nabrać powietrza, wstrzymać. Wstrzymać. Wypuścić.

Serce powoli uspokajało się.

Mówić, zmienić nastrój. Miałam im zapewnić przyjemny dzień, a nie przeżycia z niezgrabną przewodniczką.

Moja pierwsza nauczycielka baletu prawdopodobnie przewracała się w grobie.

Skup się na robocie a nie na bzdurach. Bądź poważna.

— To teraz kościół Franciszkanów. Nie powiem wam, co zobaczycie w środku — uprzedziłam. — To jest bardzo... specyficznie udekorowane miejsce.

Rozejrzyjcie się trochę a potem wrzucimy odpowiednią porę dnia, żeby było wszystko lepiej widać.

Avriel przyjrzał się starannie budynkowi z zewnątrz, podczas gdy Robert...

Robert głównie patrzył na mnie.

Nie wyobrażaj sobie za wiele, moja droga.

Druga Irena nie była realistką, tylko wstrętą małpą, która psuła mi nastrój.

— Chodźcie, tylko ostrożnie, tutaj schody są. I mogą być śliskie, a nie potrzebujemy już dzisiaj więcej wypadków, prawda?

Połowa satysfakcji z pracy przewodnika po Krakowie to obserwowanie reakcji oprowadzanych. Przy dużej grupie są to pytania, miejsca, gdzie wszyscy zatrzymują się na zrobienie zdjęcia, budynki, pod którymi każda grupa przystaje na dłużej. Czasem entuzjastyczne dzieciaki. W przypadku wycieczek bardziej indywidualnych miałam czas na przyjrzenie się dokładnie, co konkretnym gościom się najbardziej podoba i co ich najbardziej uderza.

Ci dwaj zdecydowanie wyglądali na nieprzyzwyczajonych do ozdobniejszych kościołów, a co najmniej do takiego rodzaju dekoracji. Rozglądali się po dobrze oświetlonym wnętrzu, wyraźnie usiłując ogarnąć, gdzie ja ich właściwie przyprowadziłam.

— Co to jest? — wykrztusił wreszcie Robert.

No i to jest reakcja, której oczekujemy, jak się komuś pokaże Franciszkanów. Miód na serce każdego przewodnika.

— Krakowscy artyści w najlepszym wydaniu. Tadeusz Popiel, Władysław Rossowski i — wskazałam na secesyjne kwiaty, pokrywające znaczne połacie ścian — Stanisław Wyspiański.

— To jest, jak, jak Art Nouveau?

— Secesja, tak.

— Ale— kto to wszystko zaprojektował? Kto to...

— Wyspiański. Ale to jeszcze nie wszystko. Chodźcie, trzeba tu stanąć. I poczekajcie, muszę dopasować...

To zadanie wymagało precyzji.

W tym się właśnie specjalizowałam.
Precyzyjnie i z Efektem.
Obróciłam nas w stronę zachodniego końca kościoła.
Na zewnątrz była zima i zmierzch, więc witraż nie był dobrze widoczny.
Przelałam nas na starannie wybrane letnie popołudnie, ufając, że aura zabezpieczy nas przed konfliktem.
— Wyspiański projektował też witraże — wyjaśniłam zapatrzonym gościom.
— Obejrzyjcie sobie na spokojnie. Mamy czas.

####

Po wyjściu z kościoła Franciszkanów zrobiliśmy sobie nieduży i raczej cichy spacerek zaśnieżonymi Plantami. Panowie zrobili jeszcze trochę zdjęć, przy dekoracjach, przy bałwanie na jednym z trawniczków i przy latarni, z której spływały świetliste śnieżynki. Skręciliśmy w Poselską, a następnie w Grodzką.

— A to nie jest kierunek z powrotem na Rynek? — zapytał w końcu Avriel, patrząc z niepokojem na swój telefon. Odpalona na niej aplikacja mapy wyraźnie pokazywała, że zawracamy.

— Owszem, ale następne miejsce, gdzie planowałam was zaprowadzić, jest właśnie tu, pod numerem trzydziestym trzecim.

Usiedliśmy w rogu kawiarni - panowie zamówili obydwa rodzaje tortu (popatrzyłam z łakomstwem na Wiśniowy Sad stojący przed Avrielem, ale obiecałam sobie powrót w weekend, miałam ich tu oprowadzać a nie obżerać się), paschę i Pavlovą, dzieląc się następnie nimi starannie na pół. Ja poprzestałam na czarnej herbacie z konfiturą. Dyskusję o polskich ciastach, tradycyjnych wyrobach cukierniczych oraz różnicach w typie sera białego na całym świecie miałam opanowaną tak, że mogłam logicznie następującą po tym część rozmowy obsłużyć prawie bez namyślenia się.

— A jaki jest twój ulubiony deser?

Robert wyraźnie czekał na odpowiedź, patrząc znad swojej kawy. Z zainteresowaniem.

W sumie to było ciekawe, ale dla większości oprowadzanych gości byłam tylko pożytecznym nośnikiem silnych Uroków i rzadko kto w ogóle pytał o *moją opinię* na jakiś temat. Wiedzę, tak. Informacje o historii, budynkach. Co *polecam*. Naprawdę nieliczni pytali co sama preferuję. A przecież to dwie zupełnie różne rzeczy.

Spędzić sobotni wieczór na czymś kulturalnym? Piwnica pod Baranami dla mnie, Teatr Stary dla turystów. No, chyba że ktoś się uprze i jest wysokim i przystojnym ochroniarzem księcia...

Spacer? Aleja Waszyngtona i Salwator, ale gości raczej wyślę na Bulwary.

Obie opcje jednakowoż słabo wypadają w zimie, chyba że ktoś jest naprawdę wielbicielem chłodnych i solidnie przewietrzonych krajobrazów.

Takie przykłady można mnożyć - gdzie sama bym jadła na mieście, a gdzie prowadzę wycieczki, a nawet jakie kluby im proponuję (sama... nie chodzę do klubów).

Nie żebym żałowała turystom tych "moich" kawałków. Po prostu raczej trzeba być *tutejszym*, żeby spacer na cmentarz sprawiał jaką-taką przyjemność, chyba że we Wszystkich Świętych, po zmroku, żeby zobaczyć wszystko zastawione zniczami. Rzadko którą wycieczkę zagraniczną prowadziłam na kabaret, bo ludziom ciężko jest wytrzymać ponad dwugodzinny program rozrywkowy w kompletnie obcym im języku, dlatego tam chodziłam zwykle z polskimi grupami, a i to rzadko.

Dobrze, że Robert i Avriel nie wymagali, żebym im coś wyjaśniała, a tylko docenili artystów.

— Irena?

Znowu się zamyśliłam. Zdecydowanie za często mi się to zdarzało w jednym dniu.

— Um. Nie podają go tutaj. W ogóle to wolę małe ciastka od dużych, albo tortów, więc jak już kupuję, to pudełko babeczek toffi w cukierni niedaleko moich rodziców. A jakbym miała wybrać coś z większych kalibrów, to wygrywa mój własny sernik i keks.

Smoliście czarne brwi powędrowały do góry w zdziwieniu.

— Pieczesz?

Wzruszyłam ramionami. Co miałam nie piec.

— Wolę ciasta mniej posłodzone niż te dostępne w handlu. W cukierniach sypią tyle cukru i używają tak świeżego sera, że serniki są niemal bez smaku. Mogę?

Sięgnęłam po talerzyk z resztką paschy, Robert podał mi go natychmiast.

— Mm. Oni to się tutaj starają. Tego, w sensie paschy, sama nie robię, ale mój sernik jest dość podobny, tylko z ciastem pod spodem i kratką na wierzchu. No i dorzucam więcej skórki cytrynowej. To takie dziwne? Chodzenie po mieście z turystami to nie jest moje jedyne zajęcie. Po pracy robię dużo innych rzeczy.

— Nie, nie... Po prostu jakoś to pieczenie... tak mnie zaskoczyło — przyznał Robert. — Ale nikt nie żyje samą pracą, oczywiście.

— On składa drewniane modele statków — Avriel pochylił się ze swoją filiżanką bliżej i szturchnął lekko swojego ochroniarza w ramię. — Ile ich już masz? Sto?

— Siedemdziesiąt trzy — warknął Robert. — I nic ci do tego, składam je po godzinach.

— Pewnie, pewnie. Każdy ma prawo do relaksu.

— A ty, jakie masz hobby?

Avriel przygryzł wargę i wysączył do końca kawę.

— Maluję pejzaże morskie.

Co proszę.

— Jest za skromny. Maluje widoki z Rezydencji, naprawdę piękne.

Impresjonistyczne.

— Nie przesadzaj.

— Boi się, że ludzie podziwiają je tylko dlatego, że jest księciem.

Skrzywiłam się.

— To się pewnie często zdarza?

— Dalece nie tylko przy obrazach — Avriel westchnął, jakby ciężkawo. —

Udawane romanse, stawianie wyższych ocen, proponowanie członkostwa w różnych grupach społecznych... Nigdy nie wiadomo, czy to dlatego, że uważają, że przyjmują interesującą osobę, czy że warto się podlizać arystokracji - albo komuś z solidnymi finansami. Na wszelki wypadek zawsze zakładam, że to drugie. Znacznie mniej rozczarowań z tego wynika. Przynajmniej na uniwersytecie udało się tego uniknąć, byłem w miarę anonimowy.

Z jednej strony, było to dość cyniczne podejście.

Z drugiej, Zygmunt mówił o siedemnastu atakach...

— Przynajmniej Urokami dzisiaj nie musisz się przejmować. Ochrona Stożkiem odrzuci każdy rodzaj Uroku, poza naszymi własnymi, a ja na pewno niczego na żadnego z was nie rzucę.

Avriel wyduł usta.

— Czyżbyśmy nie byli dostatecznie interesujący?

— Avi...

O, jaśnie panicz czuje się urażony.

— Nawet jakby zniemacka zaczęło mnie ciągnąć do łamania podstawowych zasad przyzwoitości, to jako pracownik miejski mam założony stały Urok śledzący w aurze miasta. Cokolwiek rzucę, odbija się w zapisach w biurze.

Popatrzyli po sobie.

— Klucze prywatne?

— Wszystko. Dosłownie wszystko. Tak samo jest z innymi pracownikami jednostek miejskich.

— A Klucze, które wam wydają w pracy? Po zakończeniu pracy wyłączasz wszystko?

— Mam prawo ich użyć w zakresie dopuszczonym przez mojego szefa, czyli, na przykład, od momentu odstawienia was na Wawel do jutra rana mogę sobie zrobić kilka skoków w czasie. Kupić książkę, której szef szuka, pójść na drobne zakupy. No, takie tam. Coś jak samochód służbowy w niektórych firmach, tylko

taki z nawigacją i zapisujący pełną trasę. Więc jutro on może dokładnie przejrzeć, gdzie byłam.

Panowie spojrzeli po sobie.

— I tak... każdy rodzaj magii, jakiego używasz?

Wzruszyłam ramionami.

— Cena za certyfikat bezpieczeństwa. Coroczne szkolenia z etyki \Uroków, testy z higieny pracy z magią powszechną i elitarną, audyt użycia. Zarówno Kluczy biurowych, do których mam szkolenie i autoryzację, jak i tych kupionych i używanych prywatnie. Wymaga się od nas trzymania wyższych standardów.

Kolejna wymiana spojrzeń.

— A jakby ktoś próbował użyć... no, takiego Klucza. Albo Uroku, który ma rzucony prywatnie, poza obowiązkami służbowymi, do czegoś nieakceptowalnego. To co wtedy?

To mogłam wyrecytować bez zastanawiania się.

— Nagana, nagana z wpisem do akt, nagana z czasową blokadą dostępu do aury miasta, permanentna blokada na aurze i zwolnienie, zależnie od rozmiaru problemu. Niezależnie od powodzenia, dodajmy. Próbowałeś, jesteś winien.

Avriel skrzywił się jakby.

— I to jest normalne? Nie... No, nikt nie protestuje?

— Cena pracy dla miasta, z klientami takimi jak wy dwaj. Klasa A oznacza, że... że właśnie to. Jest na to nawet jakaś norma bezpieczeństwa. Oprowadzam gości, którzy wymagają odpowiednich procedur, szef musi móc zagwarantować, że zarówno ochronię ich przed zagrożeniem z zewnątrz, jak i że ja sama nie stanowią problemu.

— A jakbyś chciała pracować dla kogoś innego? Przeprowadzić się?

Napiłam się kawy, żeby zwilżyć zaschnięte właśnie gardło.

— Mam jeszcze prawie dwa lata umowy z miastem, bez możliwości zmiany pracodawcy — powiedziała wreszcie, nie patrząc na nich. — To z kolei jest cena mojego Uroku. Licencjonowany zaklinacz przeprowadza zabieg, Urok się zaczepia a potem utrwała się przez pięć lat. Te pięć lat pracuję na posadce w Urzędzie Miasta. Dzięki czemu dostaję gości z każdego zakątka świata. Na przykład was. A goście dostają najlepszą możliwą obsługę, czyli stuprocentowo bezpiecznych przewodników z dostępem do najlepszych aspektów miasta. Na przykład mnie.

Nie bardzo rozumiałam, czemu tak po sobie patrzą co chwila. Czy było coś nie tak...?

— To w sumie ciekawe, jak różne kraje podchodzą do magii użytkowej — powiedział w końcu Robert, jakimś takim zduszonym głosem.

— Są kraje, gdzie sprzedawanie magii za pieniądze albo usługi jest zabronione.

— Albo takie, gdzie konieczna jest natychmiastowa wymiana, czyli gotówka albo barter.

— W Anglii i Walii tylko certyfikowany zaklinacz może rzucać Uroki Większe i tego pilnuje policja, ale państwo jako takie nie wtrąca się w ceny...

— ...ale muszą to być ceny bezpośrednie w funtach, nigdy odpracowywanie.

— W Szkocji podobnie, ale każde zaklęcie ma swój cennik w owcach i płaci się za nie zależnie od bieżącego popytu na baraninę.

Zdumiałam się.

— W owcach...? Jak to, popytu na... Ach.

— ...co powoduje niejaki fluktuacje na rynku zaklęć, a co za tym idzie, turystykę magiczną do Szkocji w latach większego urodzaju.

— Bo cena owiec spada.

— I zaklęć też.

— Mimo że to mało bezpieczne, a w każdym razie nie tak dokładnie uregulowane, jak w samej Anglii.

— Ale... to jak to u nich działa?

— W Szkocji nie ma certyfikowanych zaklinaczy.

— W Szkocji są tradycyjne wiedźmy.

— Tak samo jak w Irlandii — przypomniał Robert.

— Dokładnie tak jak w Irlandii. W Irlandii jest mnóstwo tradycyjnych wiedźm.

— Całe rodziny wiedźm...!

— Magia jest u nich matrylinearna i silnie związana z miejscowymi wierzeniami.

— Ale w Irlandii one idą bardziej w zależności rodzinne i relacje.

— Szkockie wiedźmy są znacznie bardziej konkretne i, powiedziałbym, przyziemne.

— I one się rozliczają w owcach? — upewniłam się, chyba nieco słabym głosem.

Robert dźgnął ostatni kawałek bezy widelczykiem i wzruszył ramionami.

— Dla nich działa.

— Każda kultura ma swoje podejście.

— Niektóre państwa bardzo formalizują dostęp do magii i, jak rozumiem, tak jest u was?

— Dosyć ściśle, tak. Jeżeli ktoś ma siłę na poziomie Zaklinacza, musi przejść szkolenie i certyfikację. Nie musi potem pracować dla państwa, ale musi przechodzić regularne testy w instytucji wyznaczonej przez miasto albo inną jednostkę samorządową. Trochę, bo ja wiem, jak przegląd samochodu.

— Ma to sens. W miejscach, gdzie magia jest taka bardziej... organiczna, bywa różnie.

Popatrzyli znowu po sobie.

Ciekawe czy to jakaś aluzja do sytuacji u nich w kraju. Co oni tam mają, poza magicznymi minerałami...?

— Tak, czasem bywa ryzykownie... Są kraje, w których nie ma żadnych regulacji, poza ścisłą dyscypliną tradycji. Są takie, które regulują wolny rynek magii zaledwie symbolicznie...

— No i oczywiście są Stany — powiedział z odrazą Robert.

Avriel otrząsnął się lekko.

— Nie przypominaj mi nawet.

— Jedna wizyta w Stanach wystarczyła, żebyśmy wiedzieli, że *nie* chcemy mieć w Lobelii przepisów ani żadnych innych metod zarządzania odziedziczonych bezpośrednio z prawodawstwa brytyjskiego. Zwłaszcza w sytuacji mieszanej tradycji.

— Nie na dłuższą metę. Na razie, cóż, mamy to co mamy... Mieszanekę starych przepisów brytyjskich, miejscowego prawa zwyczajowego oraz prawa handlowego dostosowanego do przepisów indyjskich — Avriel westchnął. — Dlatego właśnie studiowaliśmy prawo w Anglii. Podwójne specjalizacje, żebyśmy mieli podstawy do pracy nad zmianą i unifikacją wszystkiego. Musimy się dostosować do standardów międzynarodowych oraz do lokalnej specyfiki jednocześnie.

— Avriel ma zapędy historyczne, więc wziął się za ogólne prawo cywilne brytyjskie i prawo spółek, a ja pisałem pracę z prawa własności intelektualnej i robiłem omówienia porównawcze prawa pracy w Unii Europejskiej, Wielkiej Brytanii i Stanach.

Nieźle. Musieli się solidnie skupić na nauce przez te cztery lata. Pięć?

— To... dużo pracy badawczej? W sensie, to była praca własna, nie po prostu kursy, na które chodziliście i patrzyliście smutno na tablicę?

Avriel zaśmiał się. *Zaśmiał*. Pierwszy raz.

— Zdecydowanie dużo własnej pracy ze źródłami. Robert zasypał nasze mieszkanie książkami o prawie pracy z każdego możliwego kraju. Tonęliśmy pod nimi. Istniało ryzyko, że trzeba będzie szukać dla Lobelii nowego księcia, bo obecny zginie z głodu, nie mogąc wyjść z domu.

— On nie był lepszy! Kiedyś ułożył stos przejrzaných odbitek roczników statystycznych w przedpokoju i poszedł spać, a to się wywróciło i zablokowało drzwi łazienki.

— Będzie mi to wypominał do końca życia...

Popatrzyłam od jednego do drugiego.

— W czym problem...?

— Byłem w środku — wycedził powoli Robert. — A to nie było *bardzo* duże mieszkanie. Odbitki zaklinowały się między drzwiami i ścianą korytarza.

Dodajmy, że nie luzem, tylko w twardej oprawie.

— To było na drugim roku. Trzy lata temu.

— Nadal pamiętam, że musiałem spać w wannie. Bo zasnąłeś! A nie mogłem robić hałasu, bo już było po północy i sąsiedzi by się wściekli — dodał w moją stronę.

— Marudzisz.

— Po tym wypadku dokupiliśmy regał do dużego pokoju i podjęliśmy zobowiązanie, że materiały do prac nie mają prawa zostać odłożone poza nim albo sypialniami, pod groźbą schowania w losowym miejscu. W ten sposób Avriel miał kilka dni bez swojej pracy z regulacji magii międzytradycyjnej.

— A Robert cztery dni szukał podręcznika do prawa administracyjnego.

Zakryłam uśmiech serwetką.

Obaj się ożywili i wreszcie mogłam uwierzyć, że Avriel mógł być uroczy, jeżeli się postarał.

— Schował go do piekarnika, którego żaden z nas tak naprawdę nie używał

— powiedział Robert z wyrzutem. — A potem *zapomniał*. Mieliśmy z tego test!

— Szczęśliwie mieliśmy jeszcze mój egzemplarz.

— Pokryty twoimi notatkami! Nie umiem się uczyć z cudzych notatek...!

— *Marudzisz*.

Robert odrzucił loki w tył i popatrzył na Avriela z wyrzutem.

Wyglądał *bardzo* poetycko i artystycznie.

Lepiej się zajmij oprowadzaniem, kobieto.

— To co? Idziemy zobaczyć jeszcze mały kawałeczek? Już jesteśmy niedaleko Wawelu, a macie... — sprawdziłam zegarek. — Być tam na dziewiętnastą, tak?

— Trochę przed — przyznał Robert. — Oczekiwany jest strój nieco bardziej formalny niż to, co mamy teraz na sobie.

— Powiedzmy, osiemnasta trzydzieści. Mamy godzinę, a do przejścia jest zaledwie kilkaset metrów, więc pójdziemy sobie spacerem, jeszcze zajrzemy może do paru sklepów, będzie szansa na kilka ładnych widoczków... Już jest na tyle ciemno, że lampy na Plantach na pewno są zapalone, a to zawsze wdzięczny obiekt do zdjęć.

— A skopiujesz nam to, co fotografowałaś swoim aparatem? — obudził się nagle Avriel. — Potem się zapomni i będzie żal.

Spędziłam jeszcze kilka minut przekładając karty SD i kopiując odpowiednie fotki na ich oba telefony (popatrzyłam z lekką zawiścią na ich wielkoekranowe smartfony, tylko przez malutki króciutki momencik; ale jednak byłam wierna mojej służbowej Nokii), ale niebawem trzeba było wstawać i zbierać się w stronę Wawelu.

Określenie "ostatnia prosta" zwykle miało posmak ulgi, a teraz...

Kiedy zamknęłam z powrotem aparat i upewniłam się, że wszystko jest na

swoim miejscu, panowie czekali już na mnie przy wieszaku. Pozwoliłam Robertowi pomóc mi z płaszczem i przez chwilę...

Doprawdy, bądź ty chociaż trochę odpowiedzialna.

Ale bycie odpowiedzialną nie znaczyło, że nie wolno mi chwilowo ponurzać się w tym, że ktoś wyraźnie był mną zainteresowany, prawda?

Prawda?

Druga chwilowo siedziała cicho, ale nie mogłam przewidzieć, kiedy znowu przyłoży mi swoim sceptycyzmem. Miałam nadzieję, że poczeka aż wrócę do domu.

####

Z Wiśniowego Sadu wyszliśmy niechętnie, ale sprawnie. Mieliśmy spory margines bezpieczeństwa jak na taki mały odcinek do przejścia, ale należało jednak zostawić czas na te kilka sklepów, które mogły jeszcze skusić moich gości po drodze na Wawel.

Kiedy wyjrzelśmy z bramy, miasto naokoło było znacząco odmienione w stosunku do tego, co widzieliśmy jeszcze godzinę wcześniej. Niebo było prawie czarne, wszystkie dekoracje nad Grodzką jarzyły się białą i śnieżną, zaprogramowane śnieżynki opadały elektrycznie z drzew i latarni, a zupełnie prawdziwe, białe i puszyste, z chmur.

— Może lepiej by było uniknąć kolejnego poślizgu — zasugerował Robert, podając mi ramię. — Nie chcielibyśmy jakiegoś nieszczęścia, po tym jak tak miło spędziliśmy cały dzień.

Grodzka wyłożona była porządnymi płytami, chodnik nie był bynajmniej bazaltową kostką, nie planowałam też nas już specjalnie przerzucać między czasami... Wcale nie musieliśmy się przesadnie trzymać razem, Stożek miał zasięg nawet i czterdziestu metrów. Ale...

Zielone oczy patrzyły na mnie... jakby wyczekująco? Czy to było wyzwanie, czy raczej prośba? Czy może coś innego?

— Oczywiście — powiedziałam w końcu, wsuwając mu rękę pod ramię. — Byłoby to bardzo kiepskim finałem takiego przyjemnego dnia.

####

Poza sklepami i innymi atrakcjami, po drodze był też plac Marii Magdaleny, oraz jego najważniejszy lokator. Pomnik Piotra Skargi wzbudził w moich gościach niejaki niepokój, i słusznie. W rodowitych krakusach budził po prostu irytację i zniecierpliwienie, a u wielu - tak jak u mnie - głęboką niechęć. Ze względów estetycznych przede wszystkim - ustawiony został tak, że nie dało się

zrobić ładnego zdjęcia *czegokolwiek* ani *kogokolwiek* na schodach do Piotra i Pawła, co znacząco rzutowało na nastrój turystów, którzy z zapałem robili sobie fotki na każdym możliwych schodkach wiodących do czegokolwiek interesującego. Fotki takie wypadały znacznie mniej korzystnie, kiedy na środku stała cholerna kamienna kolumna!

A na dodatek sam pomnik...

— Czemu on tak stoi jakby wymiotował? — zapytał nieufnie Avriel, wpatrując się w figurę szacownego kaznodziei. — To wygląda najlepiej.

Nie bez powodu urokliwa dekoracja była przez niektórych nazywana Obrzyganym Piotrusiem. Opcja "Facet idący do kasy z ostatnim pudełkiem lazanii" była mniej zgrabną, ale miała ten plus, że była nieco mniej obelżywa.

— Czy mogę to zapisać jako opinię przedstawiciela obcego państwa na temat struktur wzniesionych bez pozwolenia na budowę w centrum Starego Miasta?

— Ale... jak to?

Westchnęłam i odwróciłam się tyłem do nieszczęsnego Skargi. Nie mogłam na niego patrzeć i jednocześnie zachować powagi.

— Taka ekipa była, artyści i magiczni. Postanowili trzasnąć kolumnę ku pamięci postaci historycznej, w pierwszorzędnej lokalizacji, przyszli nocą, rzucili iluzję i maskowanie dźwiękowe, nikt nie zauważył, jak montowali, a rano stało. I jeszcze dołożyli jakiś pioruński Urok, że nie ma tego jak usunąć. Kilku zaklinaczy z urzędu próbowało, jest nie do ruszenia. Podobno fakt, że sam Skarga pochowany jest w kościele — wskazałam na Piotra i Pawła — wzmacnia stabilność kolumny.

Robert zdjął okulary i przetarł je chustką - prawdziwą, dużą, materiałową chustką - i przyjrzał się znowu pomnikowi.

— Jako laik mogę powiedzieć tylko, że dobrowolnie bym sobie tego w ogródku nie ustawił — zauważył łagodnie. — Wygląda jakby się miało zaraz przewrócić, a jeszcze ten element z przodu, jak jakiś zwichrowany stalaktyt. Nie, zdecydowanie nie moja estetyka.

Moja też nie. Bardzo nie.

Avriel skrzywił się z niesmakiem w kierunku pomnika i pyknął w telefon. Obrócił coś, rzucił okiem na kościół. Obrócił mapę znowu.

— Usiłuję znaleźć ten kościół, ale macie ich trochę dużo w centrum.

— Tak, a ten jest najmniejszy.

Książę spojrzął z niepokojem najpierw na mnie, a następnie rzucił okiem w stronę Rynku.

— Wydawało mi się, że tak geometrycznie, to tamten malutki... był mniejszy... — brzmiało to jakby powątpiewał w moje zdrowe zmysły, a co najmniej w moją umiejętność oceny wymiarów.

— Cóż, w tym nie zmieściło się nawet dwunastu apostołów — wskazałam na ogrodzenie kościoła, gdzie rzeźbieni zdobią przecież szczyty kolumnienek.

Książe spojrzął na kościół. Na mnie. Na kościół. Na swojego ochroniarza, który dusił się ze śmiechu.

Przetarł twarz i westchnął głęboko.

Robert w końcu prychnął, poklepując mnie po ręce.

— Jestem pewien, że powtórzy to Sallah — powiedział teatralnym szeptem.
— Zrobił zdjęcie frontu.

— Słyszałem!

Zostawiliśmy za sobą plac i powoli poszliśmy dalej, zahaczając o sklepik z zabawkami drewnianymi i kilka sklepów z bursztynem (znowu...) które wspólnie solidnie dociążyły plecak Roberta (Avriel czuł potrzebę kupienia jeszcze kilku prezentów... widać narzeczonej nie wystarczyłyby same szachy). W końcu dotarliśmy do Plant, panowie stanęli u wylotu Grodzkiej (zostałam tegoroczny, był nader dekoracyjny) i zrobili sobie kilka zdjęć na tle muru Wawelu i rozwieszonego oświetlenia. Zostało nam jeszcze dość czasu na króciutki spacer alejką do św. Gertrudy i powrót koło hotelu Royal. Ale ledwo. Tak tylko żeby pokazać chłopakom ozdoby rozstawione na trawnikach i zdążyć zrobić kilka zdjęć w atmosferze wytwarzanej przez kuliste latarnie. Zaciekawiałam się przelotnie, co na nich wyjdzie, bo fotografowie testujący aurę Plant pod Wawelem twierdzili, że w tym konkretnym oświetleniu prawie każdy, kogo sfotografowano, wyglądał jak z jakiejś starożytnej bajki. Podejrzewano przypadkowe zazębiecie kilku Uroków, ale nikt z urzędu miasta ani Zakładu Inwestycji Miejskich nie potwierdzał tych plotek. Nikt też im oficjalnie nie zaprzeczył, co oczywiście dawało ludziom dużo powodów do spekulacji, a że efekt nie był stały *oraz* pojawiał się wyłącznie na fotografiach, pozostawały eksperymenty.

####

Ostatnie kroki przez Planty ciążyły mi dość niespodziewanie. Nie byłam zmęczona - ba, wręcz przeciwnie, uczucie lekkiego uniesienia związane z naprawdę dobrze spędzonym dniem pracy i naprawdę miłym towarzystwem było niezwykle relaksujące. Być może to ciemność zimowego wieczoru, albo dekoracje na Plantach — coś było takiego, że usiłowałam odwlec ostateczne odstawienie moich podopiecznych tam, gdzie czekała ich niecierpliwa już zapewne grupa, która miała ich doprowadzić do stanu bardziej reprezentacyjnego niż puchate kurtki i wełniane czapki, którymi byli teraz otuleni.

Byłam całkiem zadowolona z tego, że nie musieliśmy się uciekać do użycia taksówki. Kraków najlepiej jest oglądać na piechotę. Zwłaszcza jeżeli chodzi o

wieczorne zimowe spacery Plantami, kiedy latarnie oświetlają wszystko tak, że żadnej dodatkowej magii, ani robienia zdjęć nie trzeba, żeby alejki wyglądały jak z jakiejś zaczarowanej krainy. Niektórzy lubią dokładać efekty, zwłaszcza ci z Urokami iluzyjnymi, a nawet odpowiednie użycie Złania Czasów potrafi podkreślić atrakcyjność... Tego wieczoru wszystko wyglądało tak pięknie, że najwyżej dodałam gdzieś śniegu i uzupełniłam jakiś wyłysiały żywopłocik.

Powoli podeszliśmy do góry, nawet nie ślizgając się specjalnie na kamieniach podjazdu. W ciszy minęliśmy Bramę Herbową i stanęliśmy w pierwszym łuku za nią, żeby spojrzeć na miasto.

— A tam, co jest? — zapytał cicho Robert, pochylając się do mnie.

— Do przodu, tak przed nami, to też Planty. Nie szliśmy tym kawałkiem tu dokładnie na wprost, ale o, tam byliśmy. No i one są wokół całego starego miasta, tak jak mówiłam, na miejscu murów. Po prawej stronie od tego kawałka tu są ulice, które wam pokazywałam, czyli samo centrum. Uniwersytet Jagielloński, którego dużo starszych budynków przylega do Plant. A przed nami jest ulica Straszewskiego, do której nie doszliśmy. Jakby się dało ustawić lepiej pod kątem, to o, byłoby widać moje liceum.

— Gdzie? — przysunął się bliżej, tak żeby widzieć, jaki punkt dokładnie pokazuję.

— Dość dokładnie na wprost. Um. Po prawej mamy cały czas Planty, ale po lewej widzisz kamienice, i... Um. Widzisz taki ciągły kawałek bladezielonego dachu? Część jest frontem do ulicy... A część frontem do nas, na przecznicy...

Gubiłam wątek.

Co to za przewodniczka, która zapomina co miała powiedzieć tylko dlatego, że jakiś zagraniczny przystojniak...

Wprost emituje zainteresowanie.

Albo: Stoi na tyle blisko, że czuję bijące od niego ciepło.

Albo: Mógłby stanąć jeszcze bliżej, nie protestowałabym.

Albo...

— Ten element poniżej, to kawałek fortyfikacji?

Na dźwięk głosu Avriela Robert wyprostował się i zrobił krok w tył.

— Tak. Kaponiera, druga jest tam po prawej, przy Bramie Austriackiej. Jeden podjazd w dół, jeden w górę, ale tamta brama nie jest otwarta. Prowadzi prosto do ogrodów... O tej porze roku są mało ciekawe, obawiam się.

— Powinniśmy przyjechać jeszcze raz w lecie — mruknął Robert.

Avriel przytaknął. Powoli, niechętnie oderwali się od widoku.

Katedra, lekko oprószony śniegiem dziedziniec i zarysy zieleni nie wymagały żadnych operacji z czasem. Były dokładnie takie, jak trzeba. Lekko bajkowe, lekko oderwane od tego, co poniżej.

I czekał tam na nas już ktoś z obstawy.

Avriel, przy całej swojej oschłości, skinął mi głową i podszedł do czekającego na nich mężczyzny pierwszy, dając Robertowi i mi chwilę.

— To była... — Robert zdjął czapkę, palce nerwowo przeczesaly włosy. Loki niemal od razu wróciły do stanu pierwotnego chaosu, zupełnie nie przejmując się tą słabą próbą opanowania ich. — To był niezwykły dzień. Pierwszy raz widziałem takie połączenie magii i historii. Zwiedzaliśmy już całkiem sporo różnych miejsc, ale tu...

— Kraków jest jedyny w swoim rodzaju — powiedziałam z pewnością daną mi przez mieszczańskie pochodzenie, wyższe wykształcenie i święte przekonanie o słuszności lokalnego patriotyzmu. — Drugiego takiego miasta nie znajdziesz nigdzie. Samorząd i grupy wsparcia magicznego...

Urwałam. Nie że straciłam wątek - zapomniałam w ogóle, że jakiś wątek był. Robert zrobił ten jeden dodatkowy krok i stanął na tyle blisko, że poczułam zapach jego wody kolońskiej — jakby cytrusowy, jakby ziołowy...

— Dziękuję. Dla mnie i... i dla Avriela, to był pierwszy dzień od dawna, kiedy mogliśmy się naprawdę zrelaksować.

Skinęłam tylko niemo głową.

— Robert! Czekają na nas!

No tak. Jego Wysokość wzywa...!

Zdjęłam rękawiczki i niemalże wyrzucając wszystko z mojej znacząco przeładowanej torebki, wydtubałam mniej pomietą niż inne wizytówkę.

— Jakbyś... jakbyście planowali wrócić do Krakowa, zadzwoń do mnie. Wyślij smsa. Maila. Cokolwiek. To są moje służbowe namiary, ale sprawdzam je 24/7, zawsze odpiszę, odbiorę...

Palce mi się trochę trzęsły, kiedy podałam mu kartonik.

I kiedy Robert pochylił się nad moją dłońią.

— Odezwę się. Jak tylko będę miał możliwość.

Zostałam tak, z plamą gorąca rozptywającą się po twarzy. Zwijając nagle chłodną dłoń, otulając ją drugą, ciepłą. Patrząc jak Robert znika we wnętrzu korytarza prowadzącego na Dziedziniec Arkadowy.

W oddali, jakby zaizolowane od nas ścianą miękkiego, wirującego śniegu, śródmieście tętniło nadal swoim staromiejskim, lekko zauroczonym życiem. Rynek sprzedawał i kupował, uliczni iluzjoniści czarowali przechodniów zwidami i potworami z legend, ulice wiły się i splatały wzorcem wybitym w aurze miejskiej, kusząc turystów zaułkami i placykami.

Bardzo łatwo jest zagubić się w Krakowie i nigdy się od niego nie uwolnić.

Dlatego potrzebni są miejscy przewodnicy. Doradzą, zaprowadzą, znajdą co trzeba.

Ale jeżeli to przewodniczka miejska coś zgubi? *Quis ducet ipsos duces?*